

V-0100/3

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 91.

Prenumerata w Warszawie:  
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 10 czerwca 1861.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:  
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3,  
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM III.

## TREŚĆ NUMERU.

Lukasz Gołębiowski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Sobótka (dwoma drzeworytami). — Ilucy (z drzeworytem). — Sklepy oszczędności. — Obchód wianków w Krakowie. — Nagrobki Kryskich w Drobinie (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Przegląd piśmienniczy. — Stara panna, kartka z życia imię pana Fulgentego, (dalszy ciąg). — Korrespondencya od redakcyi.

### Lukasz Gołębiowski.

Rodzina Gołębiowskich pochodzi ze starego Podlaska. Dziad Łukasza, Jan herbu Gozdawa, przeniósł się do Litwy i służył wojskowo, jako towarzysz pancernego znaku; ojciec, Józef, od młodych zostawał w obowiązku u Franciszka księcia Druckiego Lubckiego, marszałka pińskiego, później zaś chodził dzierżawcą. Z liczego potomstwa został mu tylko Łukasz i dwie córki.

Łukasz urodził się w Pohoście, o 6 mil od Łucka, dnia 13 października 1773 r. W domu nauczyl go czytać po polsku, po czym poszedł do szkoły, gdzie uczył go po łacinie; na dworze księcia Lubckiego z synami jego odbierał początki nauki i wykształcił się w języku niemieckim. Następnie oddany do szkół pijarów w Dąbrowicy, skończył je w kilkunastu latach, otrzymawszy medal *diligentiae*.

Nie mając żadnej przed sobą przyszłości, przyjął obowiązki u księdza Leszczyńskiego, opata w Leszczu, jako nauczyciel jego synowców, z pensją roczną stu złp. Ale niedługo tu bawił. Feliński, szkolny towarzysz jego, wezwał Gołębiowskiego do Warszawy, przyrzekając, że za pomocą Tadeusza Czackiego, kommissarza skarbu, przy którym sam bawił, będzie kosztownie publicznie wysłany do Frejburga w Szwajcaryi, dla uczenia się górnictwa przez dwa lata. Porzucił z ochotą młody Gołębiowski zmusne obowiązki, a rodzice niezadowolni, zdobyli się na skromną jego wyprawę i koszta dalekiej podróży. Gdy pierwszy projekt Czackiego nie przyszedł do skutku i wojna wybuchła w r. 1792, wziął go ten mąż uczonej z sobą do Krakowa, dał miejsce u siebie i pozwolił mu tworzącą się świeżo bibliotekę, z pensją miesięczną sześciu dukatów. Podczas podróży odbywał drogi dla interesów publicznych, zwiadził wtedy między innymi Częstochowę, następnie wały bardyowskie

w zlocie, w pakiecie położył na tacy. Dostrzeżona ofiara, zjednała mu szacunek Kościuszki. Zdarzenie z ulubionym zegarkiem Ignacego Potockiego, który znalazł Gołębiowski i wrócił właścicielowi, nie przysparzając mu żadnego wynagrodzenia, pozyskał mu jego względy, równie jak i Kollątaja, Linowskiego i wielu innych.

Wkrótce po poddaniu stolicy, Gołębiowski, otrzymawszy paszport, wyjechał do Galicyi. Złąd zgłosiwszy się do Czackiego, napowrót przy nim objął dawne swoje obowiązki. Czackiego, po śmierci króla Stani-

wszystko pod opiekę i dla uporządkowania oddał Czacki Gołębiowskiemu, dawszy mu do pomocy dwunastu młodych ludzi. Mając zwierzchni dozór nad tą biblioteką, prawie od samego jej założenia, w ciągu lat 28 ułożył i spisał 1358 foliów z rękopismami w ten sposób, że przy każdym była treść ogólna i szczegółowe notaty o wiadomościach historycznych porządkiem stronnic, co razem wzięte wynosiło 1242 arkuszy, zapisanych bitym charakterem. Utrzymywał przytem kasę Czackiego i rachunki, oraz całą a rozległą korespondencyą. „Rydel i motyka, chyba nas rozłączy“ mawiał Czacki, i tak też było.

Cichy, pracowity, Gołębiowski pomyślał o współtowarzyszce życia, coby mu samotne chwile osłodzić umiała. Poznał młodą piętnastoletnią Józefę Pałuską i poślubił ją w czerwcu 1803 r.

Po śmierci Tadeusza Czackiego, pozostał jeszcze lat pięć, na prośby wdowy, dla urzędowania interesów. Własnoręczne rękopisma Czackiego, podług jego woli, oddał Gołębiowskiemu, który ułożył się z księdzem Oszańskim, ażeby zaraz druk ich rozpocząć. Przybył Plater, który wielkie marzył projekta z ogłoszenia tych prac, zabrawł wszystkie rękopisma i... nie zrobił: Gołębiowski zaledwie po kilkunastu latach odzyskać je potrafił i zwrócił je pani Czackiej.

Ówczesny dziedzic Paław, po nabyciu biblioteki poryckiej, chciał mieć Gołębiowskiego na dworze swoim, aby objął nadzór nad całą biblioteką, jako i nad wszystkimi zbiorami, które przez połączenie razem, przedstawiały jeden z najpotężniejszych księgozbiorów krajowych. Oddany cały pracy urzędowania biblioteki polskiej, oddzielił rękopisma i duplikaty, spisał dzieła drukowane, a wyjechawszy do Królewca, za zezwoleniem króla pruskiego, umówił kopie z sekretnego archiwum Krzyżaków i niemi pomnożył i zbgacił zbiory paławskie. Opisał historyczne pamiątki w Sybilli i przygotował materiały do dziejów Litwy.

W r. 1823 przeniósł się Gołębiowski do Warszawy, mianowany czynnym członkiem towarzystwa do ksiąg elementarnych, następnie bibliotekarzem publicznym, z obowiązkiem wykładania kursu bibliografii w uniwersytecie, członkiem czynnym i sekretarzem b. towarzystwa przyjaciół nauk.

W sędziwym już wieku, w r. 1833 w maju, opuścił Warszawę i osiadł w nabytej kolonii w hrubieszowskim *Kaźmirówce*, na gruntach wsi należących do towarzystwa rolniczego założonego przez Staszica. Szesćdziesięcioletni starzec, zmuszony porzucić zawód



LUKASZ GOŁĘBIOWSKI (Rys. Polkowski, podług litografii J. F. Piwarskiego.)

W r. 1794, w marcu, zaciągnął się do pułku królewskiego pod dowództwem Wodzieckiego. Kiedy w głównej kwadracie Kollątaj zbierał składkę na opatrzenie pułku, Gołębiowski całe swoje mienie, 30 dukatów

szlaku Augusta, zajęła głównie myśl zebrania biblioteki, która by obejmowała do dziejów polskich jak najobfitsze zasoby. Przybyły z daru króla liczne rękopisma; Działyński darował ogromną pakę papierów urzędowych po Szembeku, kanclerzu z czasów Augusta II; były i inne zdobycze prawe i nieprawne, a

któremu całe życie poświęcił, oddał się z zapalem gospodarstwu, i uczył się szczęśliwym w tej ustroni, obok przywiązanej małżonki i grona dziatwy.

Zaledwie urządził się w Kaźmirówce, pisał zaraz do przyjaciela swego Kaźmirza Brodzińskiego, donosząc z radością jak jest swobodny. Nasz poeta podzielił ją ze szczerem uczuciem i pod dniem 16 czerwca 1833 r. odpisuje:

„Nie będę się mógł dość nadziękować, za tak wspaniałą i szczegółową wiadomość o szczęściu jakiego panie doznajesz. Winszuję ci go z rozrzwinięciem serca, winszuję jeszcze bardziej, że je tak czujesz; pragnę, aby jaknajdłużej nic go zatruć nie mogło. Jest to wielka ulga w przykrościach życia codziennego, słysząc o czyjśm dobrem powodzeniu, cóż dopiero tak drogiego sercu mojemu przyjaciela. Rozpogodziłeś panie smutne myśli moje, i zdaje mi się że kochany mój Gołębiowski już jest na szczęśliwym wyspie, do której i ja wszelkim sposobem dążę, ale podobno nieraz jeszcze trzeba mi będzie z gorzkiego morza się napić. Nadziei jednak nie tracę, że twoim panie wzorem, kiedyś to biédne życie dokonywać będę. Nie dziwi mnie to bynajmniej, że tak troskliwych koło siebie znalazłeś przyjaciół, bo wiem ile na nich umiałeś zarobić. Opatrzność to tylko sprawiła, że się do nich zbliżyłeś, a ja za to wszystkich ich kocham, i imieniem wszystkich rodaków i wszystkich czcicieli enót patryarchalnych podziękuję. Nie przestanę powtarzać, że rola najlepiej nam przystoi, bo rolę wskazał Bóg Adamowi po wyjściu z raju. Kiedyś tu panie koło twoich okien przechodził, westchnąłem nieraz, ale dziś powiadam: szczęśliwy.“

W tej ulubionej ustroni, oddając się wiosną i latem zajęciom gospodarskim, nie wypuścił pióra z ręki, zasiadał do pracy w czasy jesieni i zimy. Przygotowywał dzieje Polski za panowania Władysława Jagiełły, syna jego Warneńczyka, Jana Kaźmirza, Olbrachta i Aleksandra.

Śmierć w r. 1844 żony ukochanej, która dlań była w podeszłych latach opiekunką, ugodziła go ciężko i złamała sędziwą czerstwość. Tę wielką stratę trudno mu było przeżyć. Z dniem jej zgonu stracił swobodę myśli, pochylili się, jak gdyby mu kilkanaście lat życia przybyło, codziennie opadał na siłach. Tak gaśł powoli, aż umarł 7 stycznia 1849 r. Zwłoki jego złożono w Gródku nadbużnym, obok trumny małżonki.

Z prac naukowych zostawił: 1) O dziejach polskich, ich zaletach i wadach. Warszawa 1826 w 8m. 2) Opisanie historyczno-statystyczne miasta Warszawy 1827. 3) Lud polski, jego zwyczaje, zabobony 1830. 4) Ubiorcy w Polsce od najdawniejszych czasów, aż do chwili obecnych, sposobem dykcjonarza ułożone i opisane 1830. 5) Domy i dwory 1830. 6) Gry i zabawy różnych stanów 1831. 7) Wiadomości z historii polskiej, zastosowane do użytku pensyj i szkół pći żeńskiej 1830. 8) Gabinet medalów polskich, tom czwarty w Wroclawiu 1843 w 4ce, wydanie Edwarda Raczynskiego. 9. Dzieje Polski za Władysława Jagiełły, Władysława III, Kaźmirza, Jana Olbrachta i Aleksandra Jagiellończyków, 3 tomy, Warszawa 1846—1848. Tłumaczył z Bartelemiego i ogłosił drukiem: podróże młodego Anacharsysa i Karita i Polidor. Drukował w *Przebiegach naukowym* obszerną rozprawę: O żegludze Polaków. Nadto wiele rozpraw do dziejów i starożytności polskich, jak i rozbiórów, umieszczał w *Roczniku b. towarzystwa przyjaciół nauk i w innych pismach. Dzieje wojskowości polskiej*, obszerny rękopis, powierzył Edwardowi Raczynskiemu. Wiele pomagał i pisał do *Rozrywek dla dzieci* K. Tańskiej.

Prace Gołębiowskiego już dziś tej wartości nie mają, jaką okazywały w chwili wydania, bo też na tym polu zrobiliśmy wielkie postępy; lecz prace jego wyłącznie poświęcone starożytnościom krajowym, jakkolwiek już niedostateczne, rzuciły w naród masę wiadomości co do życia domowego przodków naszych. Jeżeli pogląd na lud nasz mamy rozleglejszy, więcej go i lepiej poznaliśmy, to trzy tomy Gołębiowskiego o ubiorach, grach i zabawach, domy i dwory, zachowały dotąd wartość swoje. Gabinet medalii uzupełnił pracę E. Raczynskiego; dzieje polski za Jagiellończyków pozostaną zawsze ważnym materiałem dla historyi. Brak stylowi tego pisarza potoczności, życia, jędrności, brak krytyki i pewnego poglądu: pomimo to, równie życiem całym, jak ogromem prac swoich, zasługuje na wdzięczną u potomnych pamięć.

K. Wł. W.

## Kronika tygodniowa.

Po raz dziesiąty brałem pióro do ręki, po raz dziesiąty kładłem je napowrót, nie wiedząc jak i od czego zaczynać.

Bo też to rzecz nietatwa, moi czytelnicy, pisać dzieje upłynionego tygodnia, dla tego zwłaszcza, który ich nigdy nie pisał, stanąć nagle na wstępie do krainy nieznannej, nie wiedząc kędy obrócić kroki, przekazywać przysłym wiekom historią chwili obecnej, nie czując w sobie namaszczenia kronikarskiego.

Po napisaniu dziewięćdziesięciu sprawozdań, pióro, nawykłe do podobnej szermierki, zręcznie kreślił zygawkowate ślady po papierze; ale pisać dziewięćdziesiąte pierwsze, nie napisawszy wprzód żadnego, to rzecz arcyrozumna, niewdzięczna; w takich razach piszącemu w głowie się mać, ręka drży, a serce silniej bije. Ale i żołnierz musi iść po raz pierwszy do bitwy. Ha! trudno:

....si tantus amor casus cognoscere nostros  
Et brevis Varsoviae supremum audire laborem,  
Incipio....

Czwarta wybiła na wszystkich zegarach miasta, dookoła mnie wszystko snem błogim spoczywa, słońce przeciera zaspane oczy, ja tylko czuwam za siebie i za was czytelnicy.... Czyż to nie zasługa? czyż to nie poświęcenie, które powinno mi uślać drogę do nieśmiertelności? bo któż o tej porze nie śpi w Warszawie? chyba wróble na dachu i nagle zaimprovizowany kronikarz. A zaprawdę, szkoda tego poranku, szkoda ostatnich promyków wiosennego słońca.

W Warszawie ubiegły tydzień niczem nie różnił się od poprzedzającego. A przypraszam, mieliśmy dwa nader ważne fakta w historii naszego miasta: układanie kamieni kostkowych na granicy drewnianego bruku, przerywającego wąską część Krakowskiego-Przedmieścia i wylewanie smolowcem chodników na przeciw Kopernika.

Czytelniku, czy byłeś kiedy w piekle? zapewne nie, bo i ja tam nie byłem; lecz kto według pojęć ludzkich chce nabrać wyobrażenia o karach wiecznych i przejąć się zbawiennym wstrętem grzechu, niechaj przejdzie kilkakrotnie około rozlewaczy asfaltu, a z pewnością nawróci się i czuwać pocznie nad sprawami swego żywota.

Są pewne zatrudnienia w obrębie ekonomii miejskiej, które dla oszczędzenia nieprzyjemności przechodniom, odbywają się śród ciszy nocnej; czyżby wylewanie chodników smolowcem nie mogło się także odbywać pośród tych cieniów, co je poeci tak wdzięcznie opisują? Zyskałoby się na tém podwójnie, bo oprócz usunięcia przykrości, przybyłoby światła latarniom gazowym, które wbrew zwyczajowi wesółych swych siostrzyc z Wiednia, Berlina i Drezn, coraz smutniej się palą.

Wspomnienie nocy nasuwa mi zajmującą przygodę, w której na początku zeszłego tygodnia miałem udział.

Dziesiąta wydzwoniła na wieży św.-krzyżskiego kościoła, kiedy znużony długim posiedzeniem około samowaru, wracałem do domu, zapuszczając się w historyczno-sinologiczne badania nad początkiem u nas tego napoju, który kipiącym warem zalał wszystkie ulice naszego miasta, a nawet sięgnął Solca i Grzybowa.

Już byłem przy zawiązku rewolucji amerykańskiej i przypatrywałem się w myśli pakom herbaty, pływającym w bostońskiej przystani, kiedy nagle płacz dziecięcia przeniósł mnie napowrót do Warszawy na Nowy Świat.

Pięcioletni chłopczyzna biegł chodnikiem, zalewając się gorzkimi łzami.

Płacz dziecięcia silniej przemawia do mego serca, aniżeli najciekawsza nowinka, ze wszystkimi cechami autentyczności opowiadana.

— A czego ty płaczesz? zapytałem chłopca, zatrzymując się.

— A tak....

— A gdzie idziesz?

— Do domu.

— A gdzie twój dom?

— Ja nie wiem.

Co tu robisz? niepodobna dziecka zostawić na ulicy wśród nocy, bo bardzo łatwo który z naszych nieuczonych doróżkarzy mógłby je przyjechać.

— Czy masz ojca? pytam chłopczyzny.

— A mam.

— Gdzie mieszka?

— Ja nie wiem.

— A cóż ojciec robi?

— A nic.

— A cóż matka robi?

— A nic.

Z tych odpowiedzi wniosłem, że dalsze badanie dziecka do niczego nie doprowadzi. Postanowiłem więc wziąć chłopczyznę na noc do siebie, a nazajutrz robić poszukiwania.

Dziwna to rzecz, do jakiego stopnia u nas niekórzy rodzice, szczególnie z niższego stanu, są obojętni i niedbali. Niedość że porzucają dzieci bez dozoru,

pozwalają błąkać się im w nocy samopas, ale nawet ich nie nauczą nazwiska własnego, seba zamieszkania, aby w razie zaginięcia, u powrót.

Chłopiec, trzymając się mój ręki, szedł gładząc. Ludzie stawali i przyglądali się nam z ciekawością, i już mię zaczynała gniewać wość, kiedy nagle pojawia się dziesięcioletni weczka, z miłą twarzą i rozzumnym wej a widząc moje zakłopotanie, mówi:

— Proszę pana pozwolić mi, to ja zaprowadzę chłopczyznę do ochrony.

Cudowna myśl, dziwię się zem na nią wpadł.

— Bardzo dobrze, moja panienko, rzekłem. ochronka niedaleko, zaraz za izbą obrachunkową pójdźmy do niej.

— Tam nie przyjmują dzieci w nocy, zrobiła gę moja rozsądna przewodniczka.

— Cóż więc pocniemy?

— Zaprowadzimy go na ulicę Żórawią, gdzie jest ochronka wzorowa; tam dziecię zbłąkane przyjmą.

Szliśmy więc ku owej ochronie, a przez całą drogę dziewczynka starała się ukoić płaczącą dziecinę.

Po zadzwonieniu do drzwi, otworzył je nam nadzorca ochrony; ale chłopczyk, poznawszy że to dom, wniósł nie chciał i na nowo wybuchnął.

Obadwaj nie wiedzieliśmy co począć z tego kłopotu wybawiła nas dziewczyna.

w czasie naszej narady pobiegła i przyprowadziła ku chłopczyków równego wieku, a rozdzieliwszy między nich bułeczkę, w jednej chwili połączyła n

tego zbiega węzłem przyjaźni z nowymi towarzyszami. ucałowała go, upieściła i uspokoiła zupełnie.

Luby aniółku, do jakichże poświęceń kiedyś będziesz zdolną, jeżeli już dzisiaj wypełnia twe serce taką szczerą miłość bliźniego!

Oddając zasłużoną pochwałę instytucji ochron, i mogę pominąć wrażenia jakie na mnie zrobiło zaniekanie wśród nocy dziecinny.

Nędza moralna i materyalna niższych warstw n

du, to choroba nieuleczona, która jego organizm og

nęła, choroba straszliwie nurtująca od wieków nasze społeczeństwo, i jej to w najznaczniejszej części przypisac należy upadek kraju.

Ciągle zawody i doświadczone boleści powinny naprowadzić na drogę radykalnej zmiany.

Mamy przed sobą olbrzymią pracę, której jawinni wszyscy, co przy wrodzonych skarbach s nagromadzili skarby oświaty.

Praca to wielka i trudna, ale jej dokonanie i ta jest powinnością, a sił do tego potrzebnych do

łość kraju i bliźniego.

Świat patrzy na nas, nie dajmyż się wyprze dziesięcioletnim dzieciom.

Ubieganie się za błahostkami, szukanie za w prześciganu się w rzeczach drobiazgowych, t

zadanie wielkiego narodu. Praca gruntowna, nie

dowana, wyteżenie wszelkich sił ku rozbudzeniu

duchy, ku wydzwignięciu ich z ponizenia me

i nędzy, to cel usilowań każdego zacnego cz

to sposób uleczenia naszego schorzałego społec

Dziwnyż bo, zaprawdę, stan jego!...

Jedni marzą tylko o tém, jak ocalić szczątki

wości, jak wyróżnić się nie zasługą, lecz przywilejem

Drudzy marzą tylko o nagromadzeniu dostatków

rzucają się na wyścigi za groszem; materyalizm ich

ogarnął, jemu palą kadzida, nie widząc że po za ni

mi stoi nieublagana historia, która każdy grzech narodu na swój tablicy wyłabia.

Inni znów siłą się jakby mienie zebrane zabiegami

rodziców marnie rozproszyć, odlatują jak ptaki wędrownie corocznie w obce strony, aby szarzać swe

imię, a rozsypując resztki bogactwa narodowego po niemieckich gasthauzach i paryżkich hotelach. Szafują majątkiem i życiem, jakby obojga na pożytek nie mogli użyć.

Inni, sądząc że ścisłe przestrzeganie form grzeszności towarzyskiej starczy za wszystko, zaniedbują kształcenia rozumu i serca, gardzą pracą i zasługą i chcą sprzedawać za złoto.

Inni wreszcie....

Lecz zakończmy ten smutny regestr, nie każdem on się spodoba, lecz każdy wiedzieć o tém powinien że przyszedł czas wypowiedzenia sobie nagłej prawdy.

My jednak ludzimy się i wiecznie sami przed sobą kłamiemy, podobni owemu opiekunowi, nieletnich swęj pieczy powierzony długo zan

a gdy nadszedł termin zdania opieki, stał się bielił go po wierchu, pomalował spruchnił wylepił obiciami pokoje, ale nie podparł fur nie pościagał żelaznymi pretami splekanych opatrzył dachu, aby przezeń nie zaciekała szerzyła w więzaniach zgnilizny.

Warz wodę, woda będzie.

Skarby duchowe i materialne kraju wtenczas tylko rozwijają się i pomnażają na jego korzyść, kiedy spływają na wszystkich i każdy o nie ubiegać się może.

Pomyślności wszyscy żądają, wszyscy skarżą się na biedę, a nie starają się pierwszej pracą zbudować, drugiej pracą obalić.

A jak do tej pracy gotujemy przyszłe pokolenie?

Chłopiec zaledwie nauczy się mówić, już pierwszy blask dziecięcej roztropności, bierzemy za słońce rozumu i już mu czołem bijemy, uwielbiamy wszystkie jego fantazje i zachciewki. Gdy wejdzie w wiek młodzieńczy, zamiast hartować duszę na bój z życiem przez gromadzenie w niej skarbów cnoty i nauki, przez ćwiczenie się w żelaznej pracy, w niezmordowanej wytrwałości, dajemy folę niesformnym często wybrykom, i zamiast obywatela poświęconego na usługi kraju, wyrasta istota próżna i zuchwała, pasożyt społeczeństwa. Nie on to jednak, ale ojciec jego wyrzucił oknem dary, jakimi go Bóg na drogę życia opatrzył.

A te cudne kwiatki, te uroczę pączki niewinności i cnoty, córki nasze, jakież ich wychowanie?

Zamiast wpajać w te boże serduszka miłość ku wszystkiemu co dla nas święte, wiarę, skromność i te wszystkie cnoty, które zdobyły zawsze polską niewiastę, szczerpimy w nie, jak ospę, żargon francuzki, ściskamy ciała ich ciasną sznurówką, stroimy je w jedwabie i aksamity, wychwalamy oczy ich, kibić lub wdzięk. I z tego ma wyrosnąć przywiązana córka, poczciwa i wierna żona, wzorowa matka! Nie, to będzie bezmyślna lalka, oczekująca kupca, a jeżeli tego nie znajdzie, jeżeli kurzawa czasu lub owad zepsucia zepszeć to lekkie cacko, jakże bolesny zawód rachuby lekkomyślnych matek uwieniczy!...

Jeszcze czas otrząsnąć się z tych grzechów ciężkich, jeszcze czas do poprawy.

Otóż gdzie nas zaprowadziło spotkanie zblakłego dziecięcia: zamiast bawić naszych czytelników i nasze czytelniczki, przelatując z nimi z kwiatka na kwiatek, prowadzimy ich po kamienistej drodze prawdy, nie zważając wcale, że może orszak ich nam towarzyszący zmniejszył się oddawna, a tylko wytrwali idą za nami.

Ale od czasów Mateusza herbu Cholewa, Dytmara i Bogufala, żaden kronikarz nie obszedł się bez moralizowania; mniemam więc że i mnie wybaczyć.

Rzućmy tę przykrą ścieżkę rzeczywistości, a ulećmy w obłoki marzeń, zdobne w tęczę złudzenia. Odpocznijcie, mili towarzysze.

Każdy ma jakiś ulubiony cel swoich życzeń, jakies zachcenia, z których się sam sobie spowiada; marzcie więc, marzcie, a ja się tymczasem rozejrzę po okolicy.

Z wysokości 50,000 stóp po nad najwyższy szczyt świętokrzyskiej wieży, przesliczny rozciąga się widok, tém szerszy, że go żadna nie zaślania góra.

Na południe widać czarowną dolinę Ojcowa, po za nim sędziwy Kraków, a dalej jeszcze szczyty Krępaków przegładają się w zielonem zwierciadle Morskiego oka; na zachodzie, wśród pogańskich wód Gopła, sterczy Mysza wieża i widno kopuły katedry gnieźnieńskiej; na południowym wschodzie, w ciemnych zanurzony lasach, bieje świętokrzyski klasztor, dalej Lwów jak na dłoni, a nawet widać kościoły Kamieńca. Ku północy szumią odwieczne bory, przernięte srebrnymi wstęgami Niemna i Wilii. A co zameczysk, co ruin dokola!

Wszystko to tak ponętne, tak wabiące wdziękiem, że aż się dusza wydziera, takby to człowiek rad z blizka obejrzyć.

Wielu z was, szanowni czytelnicy, zna tum koloniski, Bastej i Königstein, wielu widziało kopułę inwalidów, a są i tacy co przypatrzyli się jak Wezuwiusz przegładający się w posrebrzonych księżycem falach neapolitańskiej zatoki; ale niewielu jest podobno, co oglądali te wszystkie osobliwości, jakie my z wyżyny obłocznej widzimy.

Otóż komu się uprzykrzył pył makadamu warszawskiego, a czuje niepoohamowaną chęć do wędrowki, niech krótkie chwile lata poświęci przejażdżce po rodzinnym kraju. Wycieczka nie będzie bez korzyści, bo i pieniąż nie wyjdzie za Odrę, i raz się przyjdzie do przekonania, że i naszych stron pięknosciami pogardzać nie należy.

Sny uleciały, marzenia gdzieś pierzchły: jesteśmy znów u siebie, w jednej z księgarni warszawskich.

Jak Arystodem na trupach pobitych Spartanów, tak księgarz siedzi otoczony stosami książek za długim stołem, a w około przerażająca cisza.

Nic nowego się nie wydaje, prócz dzienników, które dziś przeczytane, jutro zostają rzucone i zapomniane.

Ale nie wszędzie takie zatamowanie: Galicya pisze i drukuje. Wyszło tam ostatnimi czasy parę dzieł wysokiej wartości. Pierwszy tom „Jadwigi i Jagiełły“

już puszczono w obieg. Obok niego spoczywa „Początek i progress wojny moskiewskiej, oraz mowy, uniwersały i inne pisma pomniejszych, pisane ręką hetmana Stanisława Żółkiewskiego.“ Xenofon polski opisuje ręką w bojach stwardniałą wypadki którymi kierował, ale bez tej przesady jaka Anabasis napelnia, z prostotą godną bohatera, co legł na polach Cecory.

Wydał je August Bielowski, a w mozolnym wydawnictwie przekład łaciński i zestawianie wariantów ułatwili mu Stanisław Przyłęski i Jan Wagilewicz.

I powieść kwitnie na Rusi Czerwonój. Kaczowski *Rozbitek* 3-tomowy, cechuje się tendencją szlachecko-postępową. Księgarz Wild wydaje prace zawczasie zgasłego Walerego Łozińskiego. Mieczysław Romanowski napisał powiastkę *Projekta*, oraz poemat *Dziewczę z Sącza...* którego dziś właśnie dajemy rozbiór.

W Poznaniu wydrukowano powieść w trzech tomach Jakuba Rydeckiego, pod nazwą *Sąd sumienia*, przypominającą czasy *Żyda wiecznego*. A nie brak tam i trupich czaszek, i głów bez ciała, węzów i olbrzymów; nietylko sama powieść, ale i liczne litografie trwoga przepelniają duszę. Kto lubi strachy, niech ją przeczyta od deski do deski; myśmy zaledwie doszli do 80 karty, a i tak całą noc jakies widma nie dały nam oka zmruczyć.

Wyszedł także dramat Kalendasa, z sanskrytu przełożony, ciekawy tém, że nas obznajmia z literaturą dramatyczną Indyj.

Nakoniec znajduje się pod prassą 365 obiadów za pięć złotych, dzieło nadzwyczajnej snadz wartości, bo w jednym roku doczekało się trzeciego wydania.

W Wrocławiu nawet wyszły wypisy dla młodzieży szkolnej, starannie przez I. N. Frycza zebrane.

We środę i wczoraj odbyły się na cel dobroczynny muzyki kościelne, pod dyrekcją St. Moniuszki w kościele ewangelickim, w których publiczność, jak zwykle, skwapliwy udział wzięła. Pieśń Boga-Rodzicy rozpoczynała tę prawdziwie wspaniałą uroczystość muzyczną, która pozostanie na długo w pamięci wszystkich obecnych. W przyszłym numerze właściwy sprawozdawca bliższych w tym względzie szczegółów udzieli.

Prócz tego zjawia się u nas od niejakiego czasu mnóstwo drobniejszych utworów muzycznych, religijnej lub poważnej treści, układu pp. Jozefa Nowakowskiego, Grossmana, Studzińskiego i innych.

Kiedy mowa o muzyce, to i królowa Bona na myśl przychodzi.

Trzysta lat temu jak chciała Włoszka, złupiwszy ogromne skarby w Polsce, siedziała sobie nad brzegiem jonskiego morza, w jednej z sal zamku Bari, i konfrontowała inwentarz swych kosztowności.

Było tam wiele dyamentów, mnóstwo rubinów, topazów i szmaragdów, a złota i srebra więcej jak dziś w pewnym uprzywilejowanym zagranicznym banku.

Otóż gdy królowa Bona przegładala owe skarby, wszedł nagle poseł jego katolickiej mości Filipa II, króla hiszpańskiego, Don Alvarez y Fernando y Juan y Dyego y Lopez y Carlos książę di Medina Sidonia, wielki admirał hiszpański, i pozdrowił grzecznie królowę.

Co z sobą mówili, niewiadomo, dość że królowa Bona kazala zapakować 400,000 dukatów w kufer, a Don Alvarez, dawszy jej hypotekę w połowie na Gaecie i Otranto, a w połowie na Kalabrii, zawiózł owe skarby do Hiszpanii, i z nich to Filip II, dolożywszy coś ze swej strony, zbudował niezwycięzoną Armadę na zniszczenie Anglii. Tymczasem burza, w sprzyśnięciu z palnemi statkami heretyków, Armadę zniszczyła, a niezwyciężony książę di Medina Sidonia, na skołatanęj karawelli do kadykskiego umknął portu.

Wierzytelności Bony spadły o połowę, a gdy przed dwoma laty owe miejsca hipoteki przeszły z rodziny Filipa II w ręce Carignanów, zrównały się z zerem.

Z całego więc dziedzictwa po królowej Bonie, jakie niegdys rzeczpospolita wzięć miała, została tylko pamięć *summ neapolitańskich*.

Chociaż w historyi prawie nigdy nie powtarzają się fakta, jednak coś podobnego pojawia się u nas, i to jeszcze w dwóch egzemplarzach.

Mieliśmy niegdys *summy neapolitańskie*, a dziś nam do nich przybywają *summy Elsnerowskie* i *Szyllerowskie*.

Dowiedzieliśmy się wprawdzie z zawiadomienia w numerze 148 Gazety Polskiej zamieszczonego, że z *summ Szyllerowskich* utworzono stypendyum Szyllerowskie, dla dopomożenia uczniowi ubogiemu do dalszego kształcenia się w uniwersytecie, pod warunkiem wszakże aby otrzymał przy ukończeniu nauk gimnazjalnych stopień *bardzo dobry z języka niemieckiego*; lecz pozostają jeszcze *summy Elsnerowskie*, jakie zebrano z trzech oratoryów odegranych w roku 1853 na cel wzniesienia pomnika Elsnerowi, a których znaczna część, po wystawieniu tego pomnika, pozostała bez przeznaczenia.

## SOBÓTKI.

„Gdy słońce raka zażrwała,  
A słowik więcej nie śpi wa,  
Sobótkę, jako czas nieście,  
Zapalono w Czarnym-leście.“  
Jan Kochanowski. (Pieśń świętojańska o Sobótkę.)

Z dwóch drzeworytów które podajemy, pierwszy przypomina nam Sobótkę we wsi dziedzicznej Jana Kochanowskiego, *Czarnolesiu*, w sandomierskiej ziemi, którą sam ten wielki poeta opisał w jednej z najpiękniejszych pieśni swoich.

Słowik już ze wdzięcznym śpiewem zamilka, wdług dawniej ludowej przypowieści, że *na św. Wit, słowik cył!* (od dnia 15 czerwca). W wigilię św. Jana zwyczaj dawny zapala święte niegdys ogniska.

Jak widzimy w drzeworycie (z rysunku Pillatego, podług opisu Jana Kochanowskiego), w leśnej dąbrowie goreje stos sobótkowy. Z jednej strony stoi trzech sędziwych dudarzy, grających na tych narodowych instrumentach; poniżej siedzi grajek wiejski, wtórujący im na skrzypkach lipowych. Z przeciwniej strony sześć par dziewczek wiejskich, jednakowo ubranych, zatacza starożytny taniec *koło* parami. Każda z nich na głowie ma wieniec z *bylicy* (*artemisia vulgaris*) i takimiż wieniec przepasana przez ramię.

Za dudarzami, na wynioślejszym wzgórk, stoi w gronie gości i domowników swoich poważny wieszcz czarnoleski, smętny i zamysłony. Przybył w tę dąbrowę, ażeby być świadkiem starodawnego zwyczaju; ale troska zaszepiła pogodne czoło poety-rolnika, bo stracił ukochaną *Urszulkę*, po której zgonie wyspięwał te śliczne a tęskne treny, co przesyły do nas i pozostaną zawsze wzorem najserdeczniejszej elegii w języku ojezycznym.

Przysłuchuje się on pieśniom śpiewanym przez dziewoje uwienieczone, z których zaczerpnął wątek do swiej *Sobótki*, a może kilka z nich zachował wiernie w ich pierwiastkowej prostocie. Posłuchajmy ustępu jednego, co dokładnie maluje nam sam obrzęd świętojański.

Siostry, ogień napalono,  
A placu nam postapiono:  
Czemu sobie rąk nie damy,  
A spolem nie zaśpiewamy?

Piękna nocy, życz pogody,  
Broni wiatrów i nagłej wody;  
Dziś przyszedł czas że na dworze  
Mamy czekać ranej zorze.

Tak to matki nam podały,  
Same także z drugich miały,  
Że na dzień świętego Jana  
Zawždy Sobótkę palana.

Dzieci, rady mej słuchajcie,  
Ojcowski rząd zachowajcie,  
Święto niechaj świętem będzie,  
Tak bywało przedtém wszędzie.

A teraz ten wieczór sławny  
Święćmy, jako zwyczaj dawny,  
Niecać ognie do świtania,  
Nie bez pieśni, nie bez grania.

W dniu tym noc najkrótsza, dlatego całą przebawiano przy igrzysku starodawnym, przy gędbie dudarzy i skrzypków, przy wdzięcznym śpiewie dziewoi wiejskich, co powtarzały pieśni sięgające czasów przedmieczysławowych.

Na drugim drzeworycie widzimy Sobótki jak je teraz po wsiach obchodzą. Już to nie uroczystość poważna, jak w Czarnolesiu, ale rozrywka jedynie tradycyjna dziatwy wiejskiej, co ochoczko skacze przez płomień ogniska, a grono otaczające poważniejszych gospodarzy i gospodyni, patrzy bez wielkiego współczucia na te igraszki młodzieży. Zdala na koniu siedzi dziedzic wioski, co zwabiony rażnym okrzykiem młodzieży sielskiej, zbliżył się pod ognisko i pogląda z zajęciem na obchód dnia uroczystego niegdys w całej Polsce. Naleci mu w pamięć z czasów szkolnych ów dwuwiérz z *Sobótki* Jana Kochanowskiego:

Wsi spokojna, wsi wesola,  
Który głos twój chwale zdola?

Ale gdy wspomni na troski codzienne, co mu zaturwają spokój domowego ogniska, z westchnieniem bolesnym opuści smutnie głowę na piersi i samotnie wraca do dworu. Przez okna otwarte widzi płomień i dym z ogniska, słyszy radosny okrzyk wiejskiej młodzieży: to rozechmurza mu zaszepione czoło, pierś swobodniej oddycha, a przy ochoczym gwarze ludu, i on czuje szczęście prawdziwe. Już teraz chętniej z Kochanowskim powtarza:

„Wsi spokojna, wsi wesola.“

O ukochany nasz ludu! zbliża się godzina pomysłniejszej dla ciebie doli; a gdy uderzy, dawne obrzędy i pamiątki swoje będziesz lepiej niż dotąd święcić i obchodzić.

K. Wł. W.

## HUCUŁY.

Na wyniosłych garbach Karpat polskich, od granicy Bukowiny i Węgier, w zakątku dawniej Rusi-Czerwonej, a dziś Galicyi, osiadło plemię górali Hucułów, słynnych urodą, olbrzymiej budowy ciała, śmiałych i dzielnych, a odznaczających się zarówno malowniczością stroju, jak i sposobem życia.

Góral, mówiący po polsku, z za Krakowa od Krywania i Babięj-góry, ma za przysmak wołowinę i chleb żytni, jeżeli go dostanie. Hucul, który właściwego sobie ruskiego narzecza używa, brzydzi się i jednym i drugim; dla niego przysmak jedyny baranina, chleb kukurydzowy i mamalyga (p r a ż u c h a z mąki kukurydzowej). Wzięty w brankę żołnierską, przy pierwszej sposobności rzuca broń i ucieka. Schwyty, śmiało odpowiada:

— Bijcie mnie i zabijcie, ja jeszcze ucieknę, bo muszę zobaczyć chatę swoją, odetchnąć górskiem powietrzem, a tu mnie karmicie zawsze krowiemi mięsem.

Gdziekolwiek pójdzie, wszędzie tęskni za jałową ziemią swoją. W pieśniach swych poetycznie wyraża to uczucie. Zszedłszy na doliny, widzi orła co przelata, w polocie pokrzykując, i porównywa go z sobą, gdy tęskni między cudzymi.

„Letył orł po nad more i staw kołosyty, Horeż myni, na czużyni, nihde sia podity. Letył orł po nad more, taj letiwszy kryknuw, Horeż myni, na czużyni, szczo ja ne przyknuw.“

W uczuciach przywiązania do rodzinnej strony jednakowi wszyscy górale; tęsknią, oddaleni od domowego ogniska, do tej ojczyzny, w której, jak dobrze mówi przysłowie naszych Podhalan:

„Początek wody, a koniec chleba.“

W górach miasteczka Kossów, Kuty i wieś Żabie, są to stolice Hucułów; na dolinie Pokucia miasto Kołomyja jest grodem ich ulubionym, jak dla Krakowiaków Kraków. W pieśniach swoich roznoszą nawet sławę Kołomyji. Osiadłszy niepełne góry, nie mając dostatku roli do siewu zboża, latem zajmują się głównie chowem owiec, wyrabianiem wełny na sukno, słynnej bryndzy, rąba-



SOBÓTKA DAWNA. (Rysował Pillati, podług opisu Jana Kochanowskiego.)

niem odwiecznych borów i spalaniem drzewa. Zimą spuszcza się na równiny Pokucia z swoim dobytkiem, aby go zamienić na ziarno, wódkę i żelazo. Biedniejsi idą na zarobek ręczny, to w gospodarstwach, to w lasach, rąbiąc drzewo i stawiając sęgi.

Produkta i towary swoje prowadzą jedynie na ko-

z chodaków (postolów), jak i ozdobnie nabijane (pysane) toporki:

Ej! Hucul sia lekko wbuje, lekko mu hodyty:  
Lubku moja, sołodenko, muszu tia lubyty.

Jak Hucuła ne lubyty, u Hucuła wiwci,

U Hucuła za pojansom  
[pysane topirci.

(Przekład polski.)

„Ej! Hucul się lekko  
[obuje, lekko mu cho-  
[dzie:

Lubko moja, słodziut-  
[ka, muszę cię lubić.

Jak Hucuła nie lubić?  
[u Hucuła owce,  
U Hucuła za pasem  
[pisane toporki.“

Pieśni te, wyłącznie tylko tym góralom, dziwne mają podobieństwo z krakowiakami naszymi. Dobry znawca poezji ludowej, Wacław z Oleśka (\*), który nam pierwszy największy zbiór kołomyjek podał, pisze:

„Osobliwszą jest rzeczą, że żaden inny naród słowiański, nie wyjmując nawet Słowaków, których pieśni najwięcej mają podobieństwa do polskich, nie ma poezji pod podobną formą. Kołomyjki te same

(\*) Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego. Lwów 1893. Właściwe nazwisko Wacława z Oleśka było Zaleski. Był w r. 1848 gubernatorem Galicyi i na tym urzędzie zakończył życie, żalowany powszechnie.



SOBÓTKA TERAŻNIEJSZA. (Skomponował i rysował Pillati.)

mają znamiona jak krakowiaki; dwa, cztery, rzadko kiedy więcej więrszy, pośpiech w układzie, w pierwszym więrszu zwykle jaki obraz z otaczającej natury, w drugim uczucie, pomysł, który się właśnie wyrazić chciał. Ale dumający Rusin trafniej bierze swoje obrazy, jak Krakowiak. Rzadko się wydarza, żeby więrsz pierwszy z drugim nie był w ścisłym związku, w związku nieraz uderzającym niedosięgniętą głębokością pomysłu i uczucia. Skromność wszędzie prawie zachowana, wesołość rzadka, posepność raczej jakaś, cecha samotności, przebija się wszędzie. Tak w kołomyjkach, jak w ogólności we wszystkich niemal pieśniach ruskich, jakieś żałośliwe, truchliwe przeciąga powietrze; wszystkie niemal są obciążone mglistą powłoką jakiejś niewypowiedzianej tęsknoty, co im właśnie tę niepojętą moc nad sercem ludzkim i ten powab nadaje, który tylko czuć można, a którego słowami wyrazić niepodobna. Zastanawiając się tylko nad melodiami, postrzegamy cały świat rozwiniętych uczuć. Jakże różne są charaktery tych melodij! W tej zdaje się nam widzieć wysmukłego górala, który wśród

Oj! tędy się łoży chyła, kędy im pochyło:  
I tam oczy wyglądają, kędy sercu miło!

To porównanie pochyłości drzewa i skłonności serca, czyż w głębszym pojęciu nie jest prawdziwe? Nie jestże i jedno i drugie oparte na konieczności od natury wskazanej?

Albo góry się rozstąpcie, albo mnie przykryjcie,  
Macie wy nas tu rozłączać, to lepiej zabijcie!

Topiły się śniegi z góry, na dolinie stały,  
Lubiły się siwe oczy, a teraz przestały!

Oj! ty goro kamienista, czemu się nie łupiesz?  
Oj! powiedz mi dziewczę prawdę, w kimże ty się  
[kochasz?

Góra i dziewczyna odpowiadają razem zatęsknionemu Huculowi:

Chybabym ja durna była, żebym się łupała,  
Chybabym ja durna była, żebym się przyznała.

nia zmysłów. Stają wreszcie przy owęj górze i znajdują ocalonych i zdrowych mężów: ale oblakana Huculka, nieprędko odzyskała zmysły.

Ubiór kobiet składa się z koszuli białej, suto wyszywanej na ramionach i rękawach kolorową włóczką, ze spódnicy zwykle niebieskiej i ponsowego fartucha; za obuwie używają butów z żółtej skóry. Kilka sznurków paciorków różnobarwnych zdobi ich szyje. Dziewczęta noszą głowy w kwiaty tylko strojne; zamężne, białe okrycie, i tak zwane *peremitki*, które większą część czoła okrywają. Peremitki te dodają im niemało powabu i wdzięku. Nierzadko między niemi znaleźć urodę, ale nigdzie nie zobaczymy owych prawdziwie pięknych kobiet, które nie są osobliwym zjawiskiem pomiędzy góralkami polskimi. Wzrost smukły, białosc pici przy barwie czerstwości, mała ręka i noga, spojrzenie dziwnie wymowne, pełne ognia i życia, a do tego nieopisany urok w każdym ruchu, uśmiechu, spojrzeniu, stawia góralki z Podhala pomiędzy najpiękniejszymi kobietami na całym obszarze dawniej Rzeczypospolitej.



HUCULY WĘDROWNE. (Rysował z natury Kossak.)

świstu wiatru i huku burzy pokrzykuje z góry na górę; w tej znowu coś szumi, jak gdyby jej spadki szły w zawody z szumem Dniestru lub Bugu; tu niby okopcałe postrzegamy twarze, na które w niskiej chacie rozpalone luczywo blask jaskrawy rzuca; tam niby w gaju coś kwili; tam znowu na równym polu głos się wolny rozlega; w innych nareszcie jak gdyby skupionych mężów gromada, donośnym głosem troski swoje głuszyła. Charakterystyczna jeszcze różnica między krakowiakiem i kołomyjką jest ta, że krakowiak śpiewa się zawsze na nutę wesołą, i że takich nut jest bardzo wiele, zupełnie się od siebie różniących, gdy tymczasem kołomyjka zawsze na jedną nutę się śpiewa. Jest jednak rzeczą nie do pojęcia, a przecież prawdziwą, że ta jedna nuta, przez samą tylko modyfikacją tonu, daje się bardzo dobrze zastosować do wydania i najsmutniejszego uczucia, i najrozpuśniejszej wesołości.

Pięknie zaprawdę, poetycznie nawet, umieją Huculi uczucia swoje wyrażać. Przywiedziem tu kilka ich piosnek w wiernym przekładzie.

Józef Korzeniowski z huculskiego życia, wpatrzysz się w nie okiem artysty, dał nam jeden z najpiękniejszych dramatów w literaturze naszej p. n. *Górale karpaccy*. Niekłamliwe są jego obrazy, gdy wystawia jak po schwytności na czele bandy opryszków młodego Antosia Rewizorczyka i skazaniu go na śmierć, narzeczona jego dostaje pomieszania zmysłów i w nurtach Czeremoszu kończy swoje cierpienia, a matka kona z zakrwawionym sercem. Tak wysokie uczucia, które rażone, śmierć zadają młodej dziewczynie i siedziwej matronie huculskiej, bynajmniej nie są przesadzone. Potwierdza je ważnym świadectwem swoim s. p. książd Karol Antoniewicz, w jednym ze swoich listów pisanych w roku 1846, gdy przebywał w tych samych niemal górach, gdzie się dramat Korzeniowski odegrywa.

Dwaj Huculi poszli ziemię kopać: przychodzi wieść, że ich góra, podebrana od spodu, zawaliwszy się zasypała. Obaj mieli młode żony. Na tę wiadomość straszną biegną nieszczęśliwe kobiety z płaczem na miejsce; ale nim dobiegły, jedna z nich dostaje pomieszania

Huculi mają przesady i zabobony o czarownicach, wiedźmach i diabłach wspólne z całą Rusią Czerwoną; ale mają zarazem wiele oddzielnych, wyłącznie im właściwych.

Pomiędzy ich starcami są tak zwani „*neprosti*“, którzy, według wiary miejscowej, cały świat duchów widzą dobrze i mogą przyszłość przepowiadać, bo dla nich ona otwartą jest księgą. Morową zarazę wyobrażają sobie w postaci niewiasty, która spotkanemu człowiekowi każe się nosić ode wsi do wsi, ażeby zaszczerpieć wszędzie morderczą chorobę. Podanie tych górali mówi, że młodego Hucula spotkała raz *niewiasta morowa* i kazała się mu przenieść w góry. Góral, nie uczuwszy żadnego ciężaru, chociaż mu usiadła na ramionach, zmiarkował kogo dzwiga. Przechożąc przez Prut, przytrzymał jej nogi krzepko, poszedł na głębinę największą rzeki i rzucił się w nią w tej nadziei, że utopi szkodliwe widmo. Sam wprawdzie utonął, ale *niewiasta morowa*, przestraszona tą odwagą młodego górala, cofnęła się na dolinę i pozostawiła w spokoju huculskie siola.

Jak u górali polskich pokazują się *duchy-dziewice* w czerwonych czapczkach, zwane *dzwo-żony*, tak u Huculów są boginie *mamuny*, co tak zamamia człowieka i otumania, ze oniemieje i słupem stanie. Tego rodzaju widma w stryjskich górach zowią *majki*; uprowadzają one młode dziewczęta, psoty im robiąc różne; szczególniej gdy przędą, nici im slińią, motają i płaczą.

Pomiędzy Huculami najwięcej mnożyły się bandy opryszków czyli zbójców, którzy latem łupili podróży, napadali siola i miasta, a zimą rozchodzili się po chatach. Dziś oni do wspomnień tylko należą w podaniach ludu tutejszego i w wielu pieśniach huculskich.

K. Wł. W.

## Sklepy oszczędności.

Dwojakich użyć można środków dla podniesienia materialnej zamożności ubogich klas robotniczych: albo podwyższeniem stopy zarobków, albo zniesieniem kosztów utrzymania życia. Z dwóch tych sposobów pierwszy rzadko bardzo daje się przeprowadzić w praktyce, wymaga bowiem wielu wysiłków i poświęceń, których społeczeństwu o ile możności należy oszczędzać (\*). Drugi za to sposób przedstawia obszerne pole działalności, przez rozmaitego rodzaju ulepszenia i reformy, ułatwiające utrzymanie się klas robotniczych. Obniżenie najmu mieszkań odpowiadających wszelkim sanitarnym wymaganiom, zmniejszenie cen głównych potrzeb pożywienia i odzienia, ułatwienie wychowywania dzieci — oto zadania, których zastosowanie rozległe w życiu, przy podniesieniu oświaty i zasad moralności, wydać musi pożyteczne owoce w najlichniej massie narodu, bo w klasie robotniczej.

Przedmiot ten jest więc dla nas niemalże wagi zadaniem, którego rozbiór zdaje się być więcej być na czasie, że i w społeczeństwie naszym widzimy już tu i owdzie poczynione pierwsze kroki w tym kierunku. Mianowicie dostarczanie głównych potrzeb życia, po cenach jak można najniższych, stało się przedmiotem prób, którym jaknajlepszemu rozwojowi i powodzeniu życzymy. Sklepy z towarami kolonialnymi, powstałe pod wpływem i przewodnictwem Domów-złeczeń, podobny sklep założony przez urzędników górniczych w Suchedniowie, przez obywateli ziemskich w Osuchowie (wieluńskie), spółka w Wilnie związana pod nazwą „Spisarnia“, stowarzyszenie konsumcyjne w Mińsku między urzędnikami utworzone, że pominiemy mnóstwo innych, są rzeczywistymi dowodami ruchu na tej pożytecznej drodze wspomagania klas ubogich.

Rozpoczynając w ten sposób reformy w życiu społeczeństwa robotniczego, rzeczywiście czynimy bardzo racjonalnie; handel bowiem u nas w ogóle błędny i zastarzały postępuje drogą, przez co niezmiernie powiększa koszt utrzymania się klas żyjących z dziennego zarobku.

W interesie samych tych przedsięwzięć pragnęlibyśmy tylko, aby odsunęły zaraz przy powstawaniu wszelkie fałszywe zasady, które naraziłyby ich być w przyszłości, a przynajmniej nie miałyby utrudniały działania. Samoistność powinna być główną podstawą takich zakładów, z niej bowiem wykwitnie silny organizm, przetrwać mogący niejedną przeciwność, pokonać niejedną trudność. Każdy na pierwszy rzut oka widzi, iż n. p. sklepy oszczędności, jakby je nazwać można, w ostatecznym rezultacie mają na celu ulgę ciężarów dla klas robotniczych; lecz bardzo by zbłądzono, gdyby chciano je uważać jako zakłady miłosierdzia.

Dlatego też życzylibyśmy aby podobne instytucje, o ile można, służyły tym warstwom społecznym, których środkami są założone, choć nie wyklucza to ani inicjatywy, ani częściowej pomocy w przeprowadzeniu pomysłu klas wyższych.

Nie mylimy się, sądząc że w gronie rzemieślników naszych znalazłoby się dość ludzi, którzyby myśl podobną wykonać z pożytkiem mogli, mianowicie oparłszy się na płodnej w następstwa idei stowarzyszeń, jak to ma miejsce w innych ucywilizowanych krajach. Uzyskanie jaknajwiększej możliwej taniości środków i przedmiotów niezbędnych do życia, jest bardzo często w krajach zachodnich celem assocjacji, jak: *L'association pour la consommation* we Francji, *Cooperative stores associations* w Anglii i *Die distributive Association* w Niemczech.

Wszystkie te stowarzyszenia, w głównej swej idei, opierają się na bardzo prostej ekonomicznej zasadzie: iż ceny przedmiotów zakupywanych ogółem z pierwszej ręki, wypadają niższe, jak ceny tychże przedmiotów częściowo nabywanych u drobnych kramarzy,

(\*) W Anglii osiąga się to przez zminy robotników, stowarzyszonych między sobą w tak zwane *stricke*.

będących pośrednikami między klasą robotczą a producentami. Łącząc swoje własne, choćby nawet małe, środki, klasy robotnicze mogą się obyć bez pomocy tych pośredników i urządzić sobie sklepy, w którychby znajdowały zadośćuczynienie swym potrzebom.

Skład takich towarzystw bardzo jest prosty, a przy energii na czele stojących osób, przy ich znajomości przedmiotu, przy rzetelności i ściślejszym trzymaniu się przepisów, rozwój ich bywa szybki, mianowicie w ogniskach fabrycznych i miastach. Najtrudniejszym jest przykład, pierwszy krok, pierwsze kilka miesięcy istnienia: później zaufanie się ustala, kredyt wzrasta, członkowie przybywają i zakład wstępuje na drogę pomyślności.

U nas, jak powiedzieliśmy wyżej, pierwsze kroki na tej drodze już postawiono; należałoby tylko przez nadanie większej jawności istniejącym zakładom zachęcić do naśladowania tych prawdziwie pożytecznych przedsięwzięć dla klas pracujących i ubogich. My tutaj wskażemy kilka wybitnych przykładów podobnych spółek sklepowych i odpowiednich im stowarzyszeń we Francji i Anglii, aby zapoznać ogół z tem co już zrobiono na tej drodze.

Między wieloma stowarzyszeniami we Francji, zniesionymi dekretem z r. 1851, było jedno związane w Lille pod nazwą *L'humanité*, na szczególną zasługującą uwagę.

Spółka o której mówimy, założoną została w roku 1848, z celem dostarczania mięsa, chleba, paliwa i odzieży dla swych członków, po możliwie najtańszej cenie, a mimo to w dobrym gatunku. Urządzeniem swoim dawało stowarzyszenie wyborny przykład stopniowania w organizacyi; członkowie bowiem rozdzielni zostali na grupy po dwadzieścia rodzin; każda taka grupa wybierała z grona swego dwudziestnika (*un vingtainier*), a pięć grup składało setnię, z wybranym setnikiem (*un centainier*) na czele. Całe towarzystwo zostawało pod bezpośrednim zarządem prezydenta wybieralnego, któremu do pomocy dodawano corocznie wybieralną radę, dzielącą się na tak zwane *sous-commissions*, z których jedna zajmowała się zaopatrywaniem stowarzyszonych w materiały do pożywienia, druga odzież, a trzecia prowadziła rachunki.

Przyjęcie na członka towarzystwa nie było niczem ograniczone, prócz wymaganiem moralnym prowadzenia się i uczciwości od osoby do spółki przystępującej; głowa rodziny, zapisana do towarzystwa, ściągająca wszystkie jego dogodności i korzyści na członków rodziny. Jedynym obowiązkiem każdego członka towarzystwa *L'humanité*, była składka tygodniowa po 15 centimów (8 gr.), tudzież popieranie moralne celów towarzystwa i kupowanie wszelkich towarów w jego sklepach za gotówkę.

Dwa lata działalności spółki, wykazały całą jej użyteczność, oraz korzyści jakieby przyniosła swoim członkom, a nawet miastu Lille, gdyby dozwolono jej było rozwijać się swobodnie. W r. 1851 liczyło już stowarzyszenie 1432 członków stałych, używających przywileju wybieralności na zarządzających. Towarzystwo urządziło sklepy z rozmaitemi wiktuałami codziennych potrzeb, głównie zaś zwróciło swoje uwagę na mięso i chleb, te dwa najważniejsze artykuły pożywienia robotników. W tym celu wydział towarzystwa zakupywał bezpośrednio bydło, bił je na własny użytek i sprzedawał mięso w swoich składach członkom opatrzonym w karcetki z godłem towarzystwa, a sprzedawał, rozumie się, niżej ceny praktykowanej u rzeźników, tak iż kiedy u tych ostatnich kilogram kosztował 65 centimów, to w sklepie towarzystwa 50. Oprócz tej bezpośredniej korzyści, członkowie odnosili i inne, niemniej ważne, jakimi są: świeżość towaru, dobry gatunek i sprawiedliwa waga. Nadto urządzenie to miało swe dobre skutki nie tylko dla stowarzyszonych, ale wywarło zbawienny wpływ na handel mięsem w Lille, z czego korzystali i inni mieszkańcy miasta. Dotychczas rzeźnicy miejscowi wzbraniłi się sortować mięso według różnych jego przymiotów, pragnąc aby kupujący zarówno za dobre, jak i za złe kawałki jednakowo płacili; z otwarciem jatek towarzystwa, rzeźnicy, bojąc się utracić swoich klientów, przystali na sortowanie mięsa, a nawet zaczęli się starać o zniesienie cen, co jest właśnie bardzo pożądaną okolicznością dla klas ubogich a pracowitych. Co więcej, towarzystwo, licząc w łonie swoim wielu członków niezamężnych, urządziło dla nich rodzaj restauracyi, w której po przystępnej cenie znajdowali jado. Świeżość pokarmów, czystość, rzetelność tak zalecały ten zakład, że wielu nawet nienależących do towarzystwa, choć po droższej cenie jak członkowie, korzystało z tamtejszych obiadów i wieczerzy. Co się tyczy chleba, paliwa i odzieży, towarzystwo nie zajmowało się samo bezpośredniem kupnem, ale zawierało kontrakty z prywatnymi dostawcami hurtowymi, którzy zobowiązywali się sprze-

dawać dane przedmioty niżej zwykłej ceny członkom stowarzyszenia. Tak n. p. chleb sprzedawał się o 2½ centima niżej na kilogramie, to jest o grosz na funcie taniiej niż w innych sklepach. Towarzystwo zapewniało, iż członkowie tylko u zakontraktowanego przedsiębiorcy kupować będą, oraz poręczało regularną zapłatę.

Zanim jednakże towarzystwo zdołało stanąć na tej pomyslniej drodze, musiało przejść niejedną trudność, a mianowicie pokonać nieufność lub przesady i przyzwyczajenia własnych członków i stoczyć walkę z konkurencyją miejscowych kramarzy. Ci ostatni, nie mogąc współzawodniczyć z towarzystwem w cenach, starali się odciągnąć jego członków, udzielając im długie kredyty, kiedy w sklepach spółkowych wszelkie interesa odbywały się na gotówkę. Początkowo manewr ten udawał się wybornie, wiadomo bowiem jak tego rodzaju długi kredyt na przedmioty codziennego życia, silnie nęci robotników lekkomyślnych i nie zglębiających dobrze całej jego szkodliwości. Kredyt taki wiedzie robotnika do życia nad stan i czyni go wiecznym sługą w ręku przekupnia. Wkrótce też, przez porównanie z członkami towarzystwa żyjącymi za gotówkę, robotnicy w Lille przekonali się o szkodliwości kredytów tego rodzaju, a odpadli członkowie powrócili nazad do towarzystwa i stali się jego najgorliwszymi poplecznikami.

Podobnego rodzaju instytucyą urządzili sobie w Sedan robotnicy tamtejszych fabryk sukienicznych, pod nazwą *epicerie commune*. W sklepach tych sprzedają członkom różne przedmioty pierwszych potrzeb życia, po cenach przystępnych. Nawzajem członkowie zobowiązują się nigdzie nie kupować, jak tylko w sklepie towarzystwa, którym zarządza osoba wybrana przez członków robotników. Sklep zaopatruje się w towary odpowiednie potrzebom, nabywane hurtownie i następnie sprzedawane po cenach kosztu, z doliczeniem procentu na administracyę. Towarzystwo siedziałe w 1850 r. posadzone zostało o jakiegoś idea komunistyczne, lecz władza, po przejrzaniu jego papierów, nie znalazła nic podobnego. Tym sposobem ogół upewnił się o czystości jego zamiarów i o sprężystości administracyi, lubo na jej czele stali ludzie z grona robotników fabrycznych wybrani. Najgłówniejszym siedliskiem zakładów o których mówimy jest we Francji Alzacya, bogata w różne gałęzie przemysłu. W Milhuzie np. robotnicy założyli sobie sklepy oszczędności, w których trzymają i sprzedają najrozmaitsze przedmioty codziennego życia; w innym miejscu urządzono piekarnię, korzystając z dobrej woli właścicieli fabryk, którzy dostarczali potrzebne na ten cel fundusze pod korzystnymi warunkami. Każdy z uczestników spółki piekarskiej, a zarazem konsument, opatrzony był książeczką, w którą wpisywano ilość i cenę wziętego pieczywa. Po trzech tygodniach odbywał się obrachunek i wypłata. Oprócz chleba, towarzystwo to zakupywało na potrzeby swych członków mąkę, owoce suszone, paliwo i t. p. przedmioty. W 1851 r. liczyło ono 354 stowarzyszonych rodzin, prawie wyłącznie robotniczych.

W Wesserling chwycono się innego systematu. Ponieważ stowarzyszyli brak było kapitału zakładowego, spółka zawarła kontrakty z kupcami o dostawę pierwszych potrzeb życia po cenach niższych, w gatunku umówionym, gwarantując ze swej strony regularną opłatę należności od członków stowarzyszenia, tudzież stała ich klientelę. Układ podobny jest dla obu stron korzystny, czego najlepszym dowodem licytacye *in minus*, jakimi dostawcy dokupują się klienteli towarzystwa, które dobrze pilnuje gatunku i wagi lub miary towarów. Solidarność podobna, przy pełnym wykształceniu robotników, nietrudną jest do osiągnięcia, i ten rodzaj stowarzyszeń, jako nie wymagający żadnego przedwstępniego kapitału, mógłby być u nas z korzyścią naśladowany.

Spółki podobne, oprócz celów materialnych, mają częstokroć zamiary i moralnych ulepszeń, jak np. stowarzyszenie w Reims, podejmujące się dostawy wina po domach, przez co zmierza do zmniejszenia pijaństwa. Według ustaw konsumcyjnych municypalności w Reims, żaden z mieszkańców nie może trzymać w domu wina w mniejszej ilości, jak 25 litrów. Ustawa ta była przyczyną, że rzemieślnicy, chcąc zaspokoić swoje potrzeby, zawsze udawali się do szynkow, a wiadomo ile tego rodzaju zakłady sprzyjają i podbudzają do pijaństwa. Przeciwnie w domu robotnik może użyć trunku z umiarkowaniem, dla zdrowia lub potrzeby. Wychodząc z tej zasady, towarzystwo wyrobiło sobie pozwolenie szynkowania po domach stowarzyszonych, a nawet urządziło zakład, w którym każdy dostać mógł tylko pewną niemogącą szkodzić ilość pijaństwa w Reims, padło ofiarą dekretu z 1851 roku.

Anglia posiada takich stowarzyszeń bardzo wiele, a wszystkie niemal wybornie urządzone i wzorowo rządzące się. Najznakomitszym z nich jest stowarzyszenie robotników fabryk bawełnianych w Rochdale, od opisu którego wstrzymujemy się, ponieważ dwa lata temu korespondent z Londynu w Gazecie Warszawskiej przedmiot ten wyczerpująco z największymi szczegółami opisał; tam więc odsyłamy czytelników naszych, a w artykule tym znajdująca się nauką dowód, co może zdziałać praca, cierpliwość, poświęcenie, nawet przy zupełnym braku środków.

Niemniej znakomitą urzędzeniem jest stowarzyszenie w Coventry, noszące nazwę *Coventry labourer's and artisan's cooperative society*.

Pierwotnym celem stowarzyszenia była rozprzedaż węgla po cenach jak można najprzystępniejszych, tudzież udzielanie robotnikom drobnych pożyczek na mały procent. To ostatnie założenie wybornie zdołano przeprowadzić, bo do dziś dnia corocznie 3,000 funtów sterlingów wypożyczanych bywa w 200,000 drobnych sumkach. Przeciwnie dostawa węgla szła upornie, i ta część czynności pewnie byłaby została zaniedbana, gdyby na czele jej nie stanęło dwóch ludzi z wyższego towarzystwa, jako opiekunowie. Wtedy rzeczy przybrały inny kierunek: założono sklep, liczbę przedmiotów w nim sprzedawanych powiększono, dalej najęto młyn i urządzone piekarnię, jak również wydzierżawiono obszerny ogród. Obrótowy kapitał tego towarzystwa składa się z wniosków zapisujących się członków, z wypuszczonych akcji 5%, po 5 szylingów każda; akcje te mogą być spłacane przez posiadaczy częstokroć po parę penny, aby tym sposobem ułatwić przechodzenie ich do rąk ubogich rzemieślników. Nakoniec stowarzyszenie przyjmuje sumy na depozyta i jedną trzecią czystych swych zysków przeznaczają na fundusz żelazny.

W 1834 r. liczyło towarzystwo to 880 członków, po większej części naczelników rodzin; obrót roczny kapitału wynosił 12,746 funtów (75,000 rs.) z czego w młynie znajdowało się 3763 funtów, w sklepie 3328, w piekarni 770, w węglu 209, w kasie pożyczkowej 1623, w ogrodzie 407. Czynności spółki były tak pomyślnie, iż przynosiły 20% dywidendy. Sklep, według p. Huber, z którego te szczegóły wyjmujemy, bardzo czysto i porządnie urządzone, obejmuje wszystkie przedmioty codziennego życia, z wyjątkiem mięsa i napojów spirytusowych. Towarzystwo rozporządza około 200 częściami ogrodu, które za umiarkowany czynsz wypuszczają członkom dla zabawy i korzyści. Nie potrzebujemy dodawać iż uprawa tego ogrodu jest wyborną, a owoce i kwiaty odznaczają się na wystawach w Coventry. Nareszcie przy sklepie towarzystwa urządzona jest dla członków mała ale doborowa biblioteka, który to szczegół charakteryzuje wybitnie wszystkie podobne urządzenia angielskie i godzien jest nie tylko pokłasku, ale i naśladowania, uczy bowiem iż zawsze chleb ciała, łączyć należy z chlebem moralnym.

Mniej więcej na ten sam sposób urządzone są inne stowarzyszenia sklepowe angielskie, odznaczające się zawsze wyborną administracją, (lubo ta zostaje w rękach prostych rzemieślników albo fabrykantów) samoistością i zręcznym połączeniem strony inteligencyjnej z materyjalną, za którym to przykładem życzymy gorąco aby iść mogły i nasze sklepy oszczędności, jeżeli wywrzcić mają ten wpływ, jakiego od nich słusznie oczekiwać można.

A. W.

## OBCHÓD WIANKÓW W KRAKOWIE.

Obchód wianków w Krakowie zawsze był zachowywanym, lecz nie tak świetnie jak w Warszawie.

Trwożne dziewice kryły się z nim przed okiem ciekawych i zazwyczaj corocznie, w wigilię świętego Jana, niewielkie ich grona, złożone z kółka zaufanych przyjaciółek, w towarzystwie swych matek, wymykały się z miasta przed zachodem słońca w górę Wisły, Rudawy i Prądnika, aby tam uchylić tajnej przyszłych losów zasłony.

Oglądając się dokoła, czy ich nieznajome oko nie śledzi, nadobne dziewczęci powierzały fałom wody różnianej z kwiatów wiosennych, ich pięknymi rączkami uwite, strojne w wstążki i różnokolorowe świeczki, śledząc z trwogą, czy ich biegu nie powstrzyma brzeg nieprzyjazny, albo zdradny nurt nie pochłonie.

Niegdyś do tych tajemnych obrzędów nie przypuściłoby nikogo z mężczyzn, ani ojca, ani nawet narzeczonego, lecz zdarzało się często, iż młodzian podkra-  
dziej się skrył w te miejsca, a gdy ujrzał na wodzie wianek dziewczęcy wielbionej, rzucił się w nurt rzeki, aby uchwylić wieniec i złożyć go u stóp swojej kochanki. Gdy podstępny wybiegał z swęj kryjówki,

wesoly popłoch ogarniał dziewczęta, a gdy się rzucił do wody, krzyk jeden, donośniejszy nad inne, przerzywał powietrze i zdradzał czyj wianek jest celem tego popisu, a kiedy wieniec spoczął u stóp ulubionej, płonęły szkarłatem lica dziewczęci i ciche podziękowanie wybiegało z drżących ustek.

Jeżeli człowiek nieznajomy zamięcił niewinną zabawę, wtedy ścigał na siebie powszechne oburzenie. Dlatego ciekawy wędrowiec, jeżeli chciał podchwycić tajemną rozrywkę ruszał krakowskich, musiał się ukryć w gęstej nadbrzeżnej krzewinie i z tamtąd śledzić, jak z prostotą i wdziękiem składały ofiarę dwom najcudniejszym boginiom—wiosnie i miłości.

Od kilku lat jednak młodzież uniwersytecka, wielbiąca z zapalem starożytne zwyczaje, postanowiła z całą świetnością obchodzić ten piękny zabytek przeszłości, i dziś, za jej staraniem i przez nią urządzone, odbywa on się z nieporównanym wdziękiem w wigilię świętego Jana. W ten dzień pełen niezbadanych tajemnic, w chwili kiedy znużone całodziennym biegiem wiosenne słońce schyla się ku góróm, kryjącym w swém łonie Panieńskie skały, niezliczone tłumy obojga płci, wszelkich stanów Krakowian, w miłym bezładzie zalegają podnóże Wawelu i przeciwny brzeg Wisły. Milczące mury panteonu polskiego, dziwią się temu wesolemu gwarowi i przenoszą się wspomnieniem w odległe wieki, — przezroczyście nurt Wisły odbija olbrzymie wiązki przeciwnego brzegu, a po zwierciadle wód królowej rzek polskich snują się łodzie umajone kwieciami, zdobne smukłymi postaciami dziarskiej młodzieży. Lekka jaskółka nie trwoży się tych niezwykłych gości i muska skrzydełkiem gładką powierzchnię wody, a rybka kiedy niekiedy zwałwym podskokiem, błyskając srebrzystą łuską, wynurza się z głębin, ciekawa dowiedzieć się przyczyny tego gwaru przerywającego jej płaszy swobodne.

Łatwo powitać na przeciwnym brzegu twarz znajomą, bo Wisła tu nieszeroka. Jej kamieniste brzegi zamieniły się dzisiaj w uroczą łakę i tuż nad wodą zakwitły smukłe lilie, precudne róże, skromne fiołki i cudne niezapominajki, — krakowskie dziewice.

W nadobnych ich rączkach spoczywają starannie uwite, przystrojone dwubarwnymi wstęgami, równianki z najpiękniejszych kwiatów, o wdziek wależące z swojemi paniami, i zaprawdę, trudno powiedzieć na czyjej stronie zwycięstwo.

Słońce schyla się i schyla coraz niżej, jego szkarłatne promienie zlocą kwiecistą łakę nadbrzeżną, otaczają świetną aureolą odwieczny zamek królewski i czepiają się jego siedmiu wieżyc. Nakoniec drżący promyk kona na krzyżu zegarowej wieży, ostatni kraniec słonecznej tarczy zapada za wzgórze. Z drugiej strony Wisły uderza w ucho tłumów ochocza nuta hucznego krakowiaka. Na ten odgłos znany serca uderzają silniej i jeden przeciągły okrzyk radości wydziera się z tysiąca piersi. Młódz wtórzy instrumentom dziarską pieśnią, a po obudwu brzegach Wisły zapalają się różnobarwne ognie bengalskie—znak to puszczenia wianków. Jak główki kwiatów lekkim wietrzykiem popchnięte pochylają się w jedną stronę, tak naraz tysiące dziewczę schyla się i powierza Wisle wróżbę swych losów.

I ukończona rzeka zamienia się w czarowny ogród, a na każdym wieniec płoną liczne ogniki, rzucając na kwiaty drzące światelka, które zwierciadlane podwajają fale.

Z obu stron płyną łodzie pełne młodzieży, strzegąc aby świętokradzka ręka nie powazyła się dotknąć tych uroczych wienców i tamować ich swobodnego biegu.

Płyną i płyną równianki, biegną i biegną dnie dziewczęcy. Tu i owdzie zagaśnie światelko uderzone podmuchem nieprzyjaznego wiatru, albo wianeczek zawcześniej głęboki nurt pochłonie, tu i owdzie gasną marzenia, rozbite podmuchem nieprzyjaznego losu, albo zawcześniej nieubłagana śmierć wyrwie kwitnącą dziewczętkę z jej rówieśnic grona.

Biędne wieniec! biędne dziewczę!

Wawelską skałę Wisła krętą obmywa wstęgą, w górze ginie za wysuniętym półwyspem przeciwnego brzegu, w dole kryje się po za *Skalką*, dzwigającą na swoim grzbiecie kościół męczennictwa św. Stanisława, i zwraca swój prąd ku wschodowi.

Kiedy puszczone wieniec nikną na dolnym rzeki zakręcie, w górze jej, z po za wysokich brzegów i gałęzistych drzew, wytryska czerwona luna, a gdy na ten widok gwar tłumów ucichnie, wzbija się rzewny dźwięk harmonijnej muzyki, a cudnym jej tonem wtórzy poważny chorał, z męskich bijący piersi.

Tłum zwraca wzrok i wyteża ucho, wrażenie lubież, dopiero co minionej rozrywki, rychło rozplywa się w innym nastroju ducha, na jaki naprowadza go pieśń wszystkim znana.

Z po za zakrętu Wisły wypływa jedna, druga, dziesiąta łódź, a brzegi wszystkich, maszty i sznury gęsto osadzone chińskimi, kulistymi baniami, z trójbar-

wnego przezroczystego papieru. Odbite w wodzie latarnie nadają nowy, nieopisany wdziek całej rzece.

Coś podobnego widzieć tylko można na kanale wielkim w Wenecyi, w czasie uroczystości regatty. W każdej łodzi mieści się grono młodzieży, wyuczonych śpiewaków, którzy z czuciem i ogniem młodocianym pocziwym sercom właściwym, śpiewają pieśń ulubioną, a świeże ich głosy w harmonijną spływają całość.

Zczerniałe baszty, oświecone odbłaskiem ogni bengalskich, powtarzają echem tony chorału i zwracają je ku śpiewakom. Publiczność poi się dźwiękiem pieśni, lub z cicha jej wtóruje, a wtedy jeden głos bije do nieba.

Nie słyhać tu wybuchów niesforniej radości, bo to chwila modlitwy w świątyni, której sklepieniem gwiazdziste niebo, ołtarzem skała Wawelu, a chórem Wisła i jej brzegi.

Zaledwie pieśń ukończono, zdala słyhać huk donośnego wystrzału. Na ten znak łodzie stają w dwa rzędy, a z zakrętu Wisły wypływa statek umajony mnóstwem gałęzi, barwiący się kwiatami i jaśniejący mnóstwem lamp. Na niem mieści się muzyka i dobór śpiewaków, płynących od Zwierzynca. Z tyłu za galarem płynie łódź wysmukła, czarna, w głębokim pograżona milczeniu, najmniejszym nierozjaśniona światłem.

Wszyscy przyglądają się z większym jeszcze zajęciem temu tajemniczemu statkowi, niż jaśniejącym łodziom i przepysznemu galarowi. Podobny do widma nocy, do owego okrętu *bląkającego się* po morzu, bez masztów i żagli, lub do czarnej łodzi antylskich filibusterów, sunie się zwolna w ślad za jaśniejącym statkiem.

Na galarze wygrywa muzyka znane a ożywiające melodye, a gdy z nich jedna, w odległej południowej stronie, wytryśnie z łona rozgorzałych piersi, wtedy z pośrodku czarnego statku nagle wystrzela sноп raket. Łódź zamienia się w gorejący wulkan; mlynki, szmermele, fontanny wciąż wylatują, wśród wesolych okrzyków zebranych Krakowian.

Dopóki brzmią tony krakowiaka, dopóty czarna łódź nie przestaje wyrzucać slichnych różnobarwnych świec rzymskich. Nakoniec pęka ostatnia raca, gaśnie ostatnia lampa, huk moździerz objawia koniec uroczystości, łodzie odpływają w dół rzeki i wszystko opuszcza podnóże zamku, spiesząc do ognisk domowych.

Cisza ogarnia miejsca, gdzie przed chwilą rozlegały się gwary, z za chmury wynurza się księżyc i oblewa srebrnym całunem posmutniałe baszty zamczyska. Rozbudzone na chwilę z wiekowych dum swoich, wzruszone rzewną modlitwą i rozweselone ochoczym pieniem, po zniknięciu tłumów znowu zapadają w dawne marzenia, a w cichych i niedosłyszanych przez ucho ludzkie westchnieniach, przesyłają sobie wzajemne skargi i żale.

## NAGROBKI KRYSKICH W DROBINIE.

Przy trakcie z Płocka do Mławy, o cztery mile od miasta gubernialnego, istnieje niewielkie miasteczko prywatne Drobin. Początek tej osady niewiadomy; jest ona bez wątpienia starożytną, sądząc już z samych bruków, gruzów i budowli, które dotąd wydobywają się w okolo miasteczka. Również niewiadomy jest założyciel tamtejszego mурowanego parafialnego kościoła, którego budowa zdaje się pochodzić z XVI wieku. Kościół ten nie ma nic osobliwego wewnątrz, ale mieści w sobie dwa pyszne nagrobki zamożnej i znaniej w dziejach rodziny Kryskich, a mianowicie pierwszy pomnik Pawła Kryskiego, dziedzica na Drobinie, którego siostra była matką świętego Stanisława Kostki, i żony jego Anny ze Szreńska, herbu Dołęga, oraz syna Wojciecha, podkomorzego płockiego, męża wytwornej nauki, w filozofii i prawnictwie biegłego, któremu król Zygmunt August powierzał ważne poselstwa do papieża Juliusza III, Ferdynanda cesarza i Filipa II króla hiszpańskiego. Wspaniale to mauzoleum jest w kształcie ołtarza. We wnękach tła, ozdobnemi płaskosłupami i arkadami określonych, wystawia siedzące figury rodziców, na przodzie zaś znajduje się leżąca na sarkofagu osoba syna, w rycerskim ubraniu. Napisy dotyczące rodziców są nad niemi, syna zaś pod sarkofagiem, a herby familijne rodziny Kryskich i Szreńskich, to jest Zaremba i Dołęga, umieszczone na podstawie płaskosłupów.

Napisy są następujące:

D. O. M.

Paulo Cryski post Ninognewum Palatinum Plocensem haeredi in Drobin, pietate, eruditione, liberalitate, animi magnitudine protestantiss. Stanisl. Castell. Racionem patri piissimo fieri fecit.



wych czasów Jana Kazimierza, kiedy cała Polska, aż po Tatry, zalana była wojskiem króla Gustawa, kiedy już nawet Czarniecki zmuszony został ustąpić z bronionego długo męstwem mieszczaństwa i akademickiej młodzieży Krakowa, i kiedy na całą Polskę jedna tylko Częstochowa nie była zajęta przez nieprzyjaciela. Tymczasem zbierał się na Podgórze krakowskim i w Tatrach materiał palny do wielkiego dramatu, którego pierwszym aktem była konfederacja tyszowiecka.

Miasto podgórskie Nowy-Sącz, zajęte przez Szwedów i zagrożone rzezią od pułkownika Sztajna, w razie gdyby kogo schwytano na znoszeniu się z Czarnieckim, zostawało przez parę tygodni w nieustannej irredzie. Wiedział bowiem magistrat, że tak niekiedy z szlachty mieszkającej w Sączu, jakoteż całe młodsze mieszczaństwo, przebrane w swity wieśniacze, znosiło się ciągle z Czarnieckiego ludźmi. Przy pierwszym zatem schwytaniu mogło przyjść do rzezi, a co gorsza, prawie nie było się czem bronić, bo Sztajn zabrał broń miejską i dał ją do schowania szlachcicowi Wielogłowskiemu, aryaninowi, zawzięcie stojącemu po szwedzkiej stronie. Rzecz w końcu przyszła do przesilenia. Szwedzi, mając wyruszyć z miasta przeciw Czarnieckiemu, przeciągającemu z pułkiem królewskiej hussaryi po Podgórze, a nie chcąc mieć za plecyma nieprzyjaciela tak korzystnie zajmującego stanowisko, postanowili na wychodnym miasto wyciąć i spalić. Mieszczenie atoli, dowiedziawszy się o ich planie i zniósłszy się z pobliskimi gromadami wiejskimi i z góralskimi, pod dowództwem Wąsowicza podjazdową prowadzącymi walkę, uprzedzili o trzy dni szwedzkie zamiary. Zbrojny ruch w Sączu, zdziałany 13 grudnia 1655 r., rozszerzył się wnet po całym Podgórzu. Ujęty i poprowadzony zdołną i silną Czarnieckiego ręką, ruch ten następnie kraj ogarnął cały.

Podania sądeckie niosą, że w pewnej dziewczynie miejskiej rozkochał się oficer dragonów Pontusa de la Garde. Kiedy Sztajn rozkazał wojsku gotować się do rzezi, ten nie mógł przenieść żeby jego kochanka, wraz z krewnymi, zginąć miała, i ostrzegł ją o postanowieniu. Od niej to dowiedziało się mieszczaństwo o niebezpieczeństwie i miało czas uprzędzić Szwedów.

Przedmiot zaiste piękny, do pełnego gry namiętności dramatu, równie jak do wysokiego natchnienia epicznej pieśni, bogatego dostarczający wątku. Autor jednakże nie obłąkał go w żadną z tych wyższych form poezji, poprzestając na najsmadniejszej, choć najmniej poetycznej, potocznej opowiadania formie. I oto w jaki sposób wprowadza nas na pierwszej karcie do domu, między rodzinę swą bohaterki:

W bielonej izbie, za cisowym stołem,  
Pod wieczór, czworo siedziało ich spolem.  
Blżej kominka dziadek Janusz—dalej,  
Kędy się lampa przed Chrystusem pali,  
Babka. Pod oknem siedziała dziewczyna,  
Basia, kwiat Sącza, wnuczka ich jedyna.  
Naprzeciw Bartek, cieśla z cieśłów sławnych  
W Sączu, ród jego należy do dawnych,  
On sam już sławą cieszył się, choć młody,  
A Bóg mu przytém nie skąpił urody.

Słońce, za góry zachodząc czerwono,  
Zajrzało oknem w chatę ubieloną,  
A że dziś była niedziela adwentu,  
Więc spoczywali wszyscy kwoli świętu.  
Janusz służebnym powierzył gospodę,  
Garniec i wino. Z księgi dziewczę młode  
Czytało świętych spisane żywoty.  
Cieśla w nią patrzył, poprawiał kapoty,  
Ileć Basia czytanie przerwała.  
Babce u czoła drzémka się wieszala.  
Pod ścianą z niemi stał jej kołowrotek—  
Z kłębuszkiem teraz igrał Basi kotek...

Właśnie skończyła Basia u rozdziału,  
Gdy Janusz z krzesła podniósł się pomału,  
I słowem księgi do głębi przejęty,  
Rzekł: „Wielki w twoich cudach, Panie święty!  
Wielki! bo wznosisz gdzie w rozpachy głowa“...

Z zawiązaną rozmową, w której stary gospodnik nie szczędzi lajań i odgrózek Szwedom, dowiaduje się czytelnik, że w domu na górze, stoi kwatery jeden z nich, Oskar Lichtenau, a pomieszanie Basi i gorąca w jej ustach nieobecnego cudzoziemca obrona, zdradzają młodego serca tego tajemnicę. Nie dziw że gdy ów poczciwy Bartek, korzystając z chwili w której staruszkowie zdrzémnęli, oświadcza jej miłość swoją, Basia nic więcej ofiarować nie może towarzyszywi lat dziecinnych, jak siostrzyną życzliwość, nie

ma dłań innego słowa, jak: *zapomnieć!* Wkrótce potem, na odgłos znajomych kroków, wybiega wrzomo do studni po wodę, i tu jesteśmy świadkami rozmowy kochanków, w której Oskar, niedość wprawdzie jasnymi słowy, o grożącym uwiadomieniu Basię niebezpieczeństwie. Świadkiem tajemnym, choć z daleka, rozmowy tej, jest i Bartek, w którym naturalnie podobne odkrycie tém żywiej podnieca i tak już gorącą nienawiść dla Szwedów. To też wszedłszy do izby gospodniej, gdzie znaczniejsi mieszczenie właśnie przy kuflu radzą o swych biędach, Bartek najzarliwiej przemawia za natychmiastowym porwaniem się na Szweda, wbrew opinii starszych, ostrożniejszych, za zwłoką i oczekiwaniem wypadków obstających.

Basia tymczasem, wróciwszy do domu, przebiega myślą rozmowę z kochankiem. Na razie nie musiała zrozumieć groźnego ale zawilego ostrzeżenia Lichtenaua, zapomniawszy bowiem o niem, oddaje się lubym marzeniom o weselnych swoich godach, o życiu z Oskarem w jego dalekiej ojczyźnie. Tu napotykaemy kilkanaście do najpiękniejszych w całym utworze należących wierszy, które dlatego przytaczamy:

Usiadła, głowę oparła na dłoni,  
W oczach myśl—myślą gdzieś daleko goni...  
I posmutniała... W obcym kędys kraju,  
Gdzie nie zna ludzi, mowy i zwyczaju,  
Kędy dzień chmurny, w noc księżyc nad skały  
Wschodzi, jak lampa z alabastru biały,  
A nad borami gęsta wisi para...  
Jeziro, brzegi—tam domek Oskara.  
I widzi wszystko, jak on opowiadał:  
Zna dom, jezioro, jodły kędy siadał,  
Doline, kwieciami ubarwioną świeżem,  
I bór, któreży błakał się za zwierzem,  
I jar, gdzie czysta jako iza krynica, —  
A w niej obojgu ich odbite lica.

Lecz zadumana rzekła wnet: „Mój Boże!  
Gdy mnie nie będzie, kto babce pomoże?  
Kto dziadka głośnym zabawi czytaniem?  
Biędna ja! biędni! jak my się rozstaniem?”

Zalem i płaczem weszło jej łono.  
Już przed nią stoi równienniczek grono,  
Krewni, znajomi z miasta i po siolach,  
Wszystko gdzie była—ołtarze w kościołach,  
Obrazy świętych, gdzie składała modły,  
Miasto i drogi co na pola wiodły,  
I brzeg Dunajca, i błękit gór siny,  
I te wśród jodeł ciemne rozpadliny...  
To wszystko teraz, niby płaczek rzesza,  
Chwyta się serca i na piers się wieszła,  
Trzyma ją dziwnie i z nią razem szłocha,  
Jak ona wszystko, jak ją wszystko kocha!...

Lecz nagle przypomina sobie straszne, choć tajemnicze wyrazy kochanka, o krwi, niebezpieczeństwie, ocaleniu jej wraz z rodziną. Błyskawica jasnowidzenia rozjaśnia jej słów tych znaczenie, a wyobraźnia, jaskrawymi barwy, roztacza przerażający niebezpieczeństwa zapowiedzianego obraz.

Na krzyki jej budzą się śpiący dziadek i babka, a przekonawszy się o głuchej w mieście panującej ciszy, z boleścią widzą że ukochaną ich wnuczkę ogarnęło dziwne obłąkanie. Z urywanych jej opowiadań jednakże stary Janusz domyśla się strasznej prawdy, odgaduje niebezpieczeństwo zawieszona nad miastem, które tylko uprzedzeniem nieprzyjaciela zbawić można. Przenosi więc dziewczynę do gospodniej izby i tu, przed całym zgromadzeniem, mówi jej każe. Przerażone powieścią jej mieszczaństwo, widząc zgubę nad swoimi zawieszoną głowy, uprzędzić Szwedów w dziele zniszczenia postanawia.

Następujący ustęp poczyna się już później o całą dobę czasu, kiedy już miasto zniosło się z zajmującymi góry gromadami i przygotowało w ciszy wszystko do działania.

Wieczór się zbliżał. Niebo jasne, czyste;  
Na Tatrach słońce stało ogniste,  
I ogniem splonął Tatrów łańcuch biały  
W ogniu Dunajca ścięte w łód kryształły,  
Baszty i wieże i obronne mury  
Świeciły blaskiem wieczornej purpury.  
W borach mrok siadał. Tak się z dniem żegnało  
Słońce, malując okolice całą,  
I zaszło. Tatrów królewna: Łomnica,  
Sama słoneczna zachowała lica,  
Ale wnet senna zsiniała i zbladła,  
I noc na miasto i na góry padła.

Ledwie promienie zgasły na Łomnicy,  
Dzwon z kolegjackiej ozwał się wieżycy  
I jęły wszystkie dzwony po klasztorach.  
Smętne ich głosy płynęły po borach,  
Turniach i skałach, wzdłuż Dunajca brzegu,  
I aż ku Wiśle w dal łańcami śniegu.

Właśnie szedł z Jackiem Janusz do kościoła.  
Stanęli, kornie pochyliłi czoła  
I tak ze sobą rozmawiając dalej,  
Do węgierskiego muru się zbliżali.

Ale wtém Janusz Jackowi dłoń ścisnął:  
„Jacku! patrz ogień na Morgani błysnął!“  
Ogień rósł—góry, doliny i lasy  
Groźnej w płomieniach nabięrały kraszy.  
Wszystkie obłazy, wzdłuż Dunajca brzegu,  
Do pół czerwone wyrastały z śniegu.  
—„Ha! to znak Bartka!“ rzekł Jacek, „ja spieszę  
Do Marcowicza. On już zebrał rzeszę“...

Podczas kiedy tak stanowcza przybliża się chwila, autor prowadzi nas do pograżonego w ciszy i cieniu kościoła, gdzie Basia, przez ludzi za nawiedzoną uznana i siebie za taką uznająca, szuka dawnego zdrowia w modlach i pocieszce kapłańskiej. Postulowana wezwaniu duchownego ojca, wyrzeka się swęj miłości—wyrzeka się usty, choć nie sercem. Odgłos bijącego na gwałt dzwonu i oświecająca okna kościelne luna pożarna, z duchowych ćwiczeń budzą ją do straszliwej rzeczywistości.

Zrywa się Basia, próżno ksiądz ją woła,—  
Bez tchu, stanęła już we drzwiach kościoła,  
Jęła boleśnie i na miasto goni,  
Kędy blask luno i szcęk słycać broni.

Mijając gromady tłoczących się do kościoła niewiast i dzieci, orężne tłumy mieszczen, przecuciem niezawodnym wiedziona, biegnie gdzie stanowisko jej ukochanego, znajduje je, zastaje Oskara w zaciętym właśnie pojedynku z Bartkiem, rzuca się nań i własnym od ciósów zasłania go ciałem. Wspaniałomyślny cieśla, pomimo całej ku szczęśliwemu Szwedowi zawzięci, choć mu ocalić życie; lecz wtém strzał wymierzony z boju przeszywa serce Oskara. Na skrzwawione jego zwłoki pochyła się Basia i pada koło nich.

Porwał ją Bartek w ramiona.—„Nieżywa“!...

Tutaj, z śmiercią głównej osoby i z końcem akcji przedmiotem opowiadania będącej, właściwie powinienby się kończyć i utwór cały. Autor przedłużył go wszakże jednym jeszcze ustępem, pod tytułem: „Trumna“, w którym przedstawia Bartka, własną dłonią dla ukochanej serca swego strugającego dom ostani, i w rozmowach nadechodzących mieszczen podaje niektóre dopełniające zbrojnego ruchu następstwa. Gdyby ustęp ten był epilogiem, mieszczącym w sobie ostatnie słowo, streszczoną myśl i morał powieści, lub gdyby obfitował w jakie poetyczne piękności i uczucia skarby, znaleźlibyśmy go w pierwszym razie cakiem na swém miejscu, w drugim zawsze pożądanym. Lecz gdy żadnemu z dwojga warunków tych nie odpowiada, zdaniem naszym autor niepotrzebnie przekroczył nim naturalne przedmiotu swego granice, śmiercią Basi i porażką Szwedów naznaczone.

Prócz przecież tego jednego przeciw prawom poetycznej architektce wykroczenia, poeta, jak to z powyższego sprawozdania czytelnik mógł zauważyć, stosownie do ram przez się obranych, bardzo szczęśliwie i umiejętnie nakreślił plan swęj powieści. Poczynając od prostej i łatwej ekspozycy, wszystkie dalsze ustępy rozwijają się jeden po drugim w zupełnie naturalny, logiczny i harmonijny sposób. Umiejętność ta kompozycyi tém więcej nas cieszy, im rzadziej w utworach żyjących dzisiaj poetów spotkać się nam z nią przychodzi. Pojedynczych szczęśliwych ustępów, pięknych wrotek i wierszy, wszędzie spotykamy pełno; ale o organiczną budowę, o ową, słusznie przez Mochackiego tak wysoko cenioną *architektonikę*, próżnobyś po największej części chciał pytać. Patrząc jak publiczność i krytyka przywykły już do zadawalania się drobnostkami, obawiać się nieledwie przychodzi, że tradycya owę wielkiej, udzielny, harmonijny i zupełny w sobie świat tworzącej poezy, którą niedawno chlubnie zajaśniała literatura nasza, na długo zaginać wśród nas może. Cieszymy się więc szczerze, znajdując w jednym z najmłodszych pisarzy to nieodzowne do wyższej twórczości poczucie.

(Dokończenie nastąpi.)

## STARA PANNA,

(KARTKA Z ŻYCIA IMÓ PAŃA FULGENTEGO.)

WYDAŁ

Zbigniew.

(Ciąg dalszy.)

Rzecz dziwna! Zdawało się że ta istota blada, czuła, marząca, niezdolna była o własnych siłach stąpać śmiało po ziemi, że potrzebowała koniecznie cudzej opieki i pieśczoć; zdawało się że natura stworzyła go bluszczem, co ma rosnąć pod opieką dębu; a przeciwieństwo to wątłe, chorowite ciało, ożywała silna i zdrowa dusza, nieugięta wola i wytrwałość. Czém się to dzieje, że natura tak często lubi przedrzeć prawdę i jakby z niej szydzić?...

Stworzy ciało z żelaza, da rozmiar rąk, nóg, plecy olbrzyma, czoło zarysowane dumnie liniami Cezara, oczy nawet, te okna duszy, oświetli jakimś duchowym promieniem energii, a wewnątrz zrobi pustkę i nic-  
coś przerażającą!...

U takich indywidualności żelazne z pozoru ciało, jest tylko woskiem rozgrzanym w puchu szczęścia, w którym lada dotknięcie palcem niedoli, wyzłabia bruzdę.... Te atletyczne ręce, to kije bilardowe, co mogą rzucać kule i bić w potrzebie, ale same nie potrafią ponieść do ust kawałka chleba, i jeśli kto na nich nie zapracuje, to te Alcidy wymrą z głodu, nie wiedząc jak temu zapobiedz. A te plecy,... z herkulesowemi barki, ugnią się pod najbliższym dotknięciem niezyciowego losu.... Pod tym dumnym, cesarowskim czołem, lęgnie się robactwo plugawych myśli, z których się wyraża szarańcza głupoty, egoizmu, lenistwa i przedajności. Ba!... a te promienie energii, lśniąca z poza szyb ocznych, to próchno, co tylko w nocy migoce, a nikt nie przy słonecznym blasku.... Ta energia wywołana jest dobrym bytem, dobrą kuchnią, piwnicą, zaspokojeniem wszelkich żądz zmysłowych i pewnością swojej kieszeni: oderwij mu tę kieszeń, a ujrysz natychmiast, jak miasto polysków owęj „energii duchowej“, wyzierać zeń będzie pokora, tchórzostwo i poślusze!

Czasem znów bywa inaczej. Istota mała, niska, wątła, cichutka, że aż żal patrzeć.... ma tyle wewnętrznej bogactwa ducha, tyle rozumu w głowie, tyle ognia świętego w piersiach, że w zdumieniu musisz zawołać:

„O naturo! po co takie zbytki wyrabiasz z ludźmi!“

Stefan od kolębki prawie zahartowanym już był w szkole ubóstwa, pracy i ciężkich walk życiowych. Owóż, jak mówiłem, kapitan-introligator siedział za warsztatem, bo dwie kule poniżej łokcia i jedna w nodze, nie dozwalały mu jąc się innej pracy, a introligator-zołnierz, introligator z pięciorgiem dzieci, może być często bez chleba, w stolicy gdzie niejedyn zjada na śniadanie kilkaset franków. Żona zajmowała się haftem i szyciem, a Stefan, urodziwszy się na nieszczęście z talentem i zamiłowaniem sztuki, oddał się całkiem rysunkom. Ojciec poświęcał ostatni grosz dla syna, co kiedyś miał go oddać za procentami sławy i szczęścia całej rodzinie. Tak marzył kapitan-introligator, tak marzyła matka, tak i Stefan nieraz marzył. Ale czy marzenia się urzeczywistniają?... to rzecz inna!

Rodzina introligatorska wiodła życie ciche, spokojne, a ciężkie, a pracowite, życie bezustannej ofiary, niemającej końca, chyba w wyzwoleniu ducha! Aż oto, nastąpił koniec dla jednej ofiary: ojciec, latami, nędzą i ranami zbolący, umarł tak cicho jak żył i pracował, zasnął prawie nad oprawą jakiejś książki do nabożeństwa, nie skończywszy pracy. Została tylko dzieciom pamiętka, wyjęta z martwych rąk starca, nad którą duch jego uleciał, z ostatnią myślą o ich doli.

Po śmierci męża, nieszczęśliwa wdowa nie upadając, nie płacząc, bo nie było kiedy, podwoiła jeszcze pracę: już nie tylko haftowała i szyła, ale nawet prala bieliznę. Najmłodsze dziecko, Helusia, miała lat osm, a i ta już pomagała matce. Niedola prędko robi z dzieci dojrzałych. Stefan wówczas miał lat siedemnaście.

Nieszczęście nigdy samo nie przychodzi, ono jak łańcuch ciągnie za sobą niezliczone ogniwa biedy, łez i utrapień. Ten łańcuch częstokroć dłuższy jest jak życie, bo niedość że opasując sobą jedno indywidualium, złoży je w grobie, ale jeszcze i z poza tego schronienia zarzuca złowrogie swoje sploty na całe pokolenia.

Biędna matka licznej rodziny pracowała po dniach całych, a że mało dnia było, pracowała i po nocach nad szyciem i haftem. Ztąd zaczęła chorować na oczy,

zapalenie się powiększyło, bo ubodzy nie mają doktorów na zawołanie, i ślepotą była następstwem pracy.

Tu dopięro cały ciężar, cała opieka, cała praca spadła na barki siedemnastoletniego młodzieńca, na dziecko prawie. Bo czémże jest siedemnastoletni chłopiec u bogatych rodziców? To pieśczoć, co nie potrafi oczyścić sobie butów, jeśli by tego była potrzeba; ale siedemnastoletni syn ubóstwa, to już mąż dojrzały, cząstka społeczeństwa, to już pracownik w wielkim zakładzie „walki życiowej.“

Owo więc i Stefan, w siedemnastym roku, był już ojcem rodziny i opiekunem ociemniałej matki.

„Piękny to i rozczulający obrazek!“ powie niejedyn czytając, a tliwsze serce może wyda i sentymentalne westchnienie. Ale w rzeczywistości to trochę więcej jak *piękne i rozczulające*. To jest „coś“, co ścisła piersi takim bólem, że nawet na jedno westchnienie „admiracy“ zdobyć się nie mogą... i tylko mimowoli przychodzi na myśl straszny głos Malthusa wołającego: „topić nędzę!...“

Siedemnastoletnie dziecko, Stefan, nie podzielał zasad nowatora zapobiegającego nędzy... i powiedział odwrotnie: „trzeba wyżywić nędzę,“ a powiedziałszy to, dotrzymał słowa.

I zaparli się siebie, swoich lat dziecinnie-młodzieńczych, igraszek właściwych wiekowi, ba, nawet chwili wytchnienia i spoczynku nocnego, od pędzła i olówka, leciał do warsztatu introligatorskiego, od kleju do przepisywania manuskryptów autorskich, a gdy mu tych nie stało, przepisywał noty i piosnki dla odzwierciedlenia, która mu w zamian dostarczała nieraz roboty introligatorskiej.

Nie będę tu długimi okresami skreślał życia Stefana, jego ciężkiej, wytrwałej, a tak mało przynoszącej pracy: opisywać dla efektu tego niepodobna. Można to odczuć, ukochać, schylić przed tym czołem, ale zachwycać się *na zimno, po autorsku*, to grzech!!

Jednak w ciągu lat kilku Stefan już wywalczył sobie pracę nauczyciela rysunków; miał już stały dochód i mógł posyłać do szkoły realno-rzemieślniczej trzech braci dorastających. Helusie zaś odrywając od igły i żelazki, uczył sam tego co mu się koniecznym zdało, aby wiedziała kobieta. Była to mała dla inteligencji nauka, ale wielka dla serca i moralności. O cudowna potęgo poświęcenia! czyż jest siła bardziej twórcza nad ciebie?... Ale spojrzmy na niego zewnątrz: to piękne, blade czoło coraz bardziej odkrywało się, bo włosy wysiłkiem myśli i strapieniem uciekały ze skroni, a na ich miejsce coraz gęściej przybywało zmarszczek, tych bruzd duchowych, po których lawa uczuć niewdziadnie przepływa, zastygając rezygnacją. Oczy zawsze nawpół przymróżone, już to z natury nie szeroko roztwarte, od wyczerpania zamglily się jeszcze bardziej i tonęły gdzieś spojrzeniem w siebie, w świecie ideałów, przeczytym duszą artysty, duszą męczennika. Praca nad siły, nad wiek, targala ciało młodzieńcze, a choć dusza dzielnie się opierała, wegetacyjna cząstka człowieka wędla, usychała, jak kwiat, któremu wzrost sztucznym ciepłem przyspiesza.

Stefan już nosił w piersiach zaród choroby strasznej, nieuleczonej, a powolnej jak chód starca, a nieuniknionej jak konieczność. Ale dużo jeszcze młodości, dużo ciepła i miłości, dużo woli i hartu zasilało ducha, a takie usposobienia niemocy fizycznej długo się opierają.

W tym czasie matka Stefana zapragnęła wrócić do ojczyzny, przeczując że rodacy pojmą, ocenią i uszczęśliwią jej ukochane dziecię.

„Tu między obcymi, mówiła, a tyle współczucia znalazła nasza niedola, a tyle szacunku twoja cnota i poświęcenie; czyż nie mam prawa spodziewać się, a nawet być pewną, że skoro wrócim do swoich, tam nas wszyscy spotkają z wyciągniętą dłonią, z bratnim uściskiem i serdeczną pomocą do pracy?“

I biędna kobieta, w błogim uniesieniu dumy macierzyńskiej, była pewną że syna jej apoteozować będą ziomkowie. Stefan na słowa te matki ze smutkiem zwiesił głowę: jego bynajmniej nie unosił ten zapal, raz że nie w sobie nie uznawał godnego uwielbienia, a powtóre tu już znał ludzi z którymi żył, tu przywykł do nich, pokochał ich, zbrała się ze swoją dolą; a tam, na tej ojcowskiej ziemi, nie znał nikogo, nikogo osobiście nie kochał.

Mimo oporu jaki stawiał z początku zamiarowi opuszczenia Francji, uległ w końcu naleganiom matki. Stało się. I oto wdowa po kapitanie-introligatorze, wraz z całą rodziną, zamieszkała w mieście W\*\*\*.

Szczęśliwy kto za powrotem do kraju znalazł jeszcze rodzinę lub przyjaciół; ale kto nikogo nie zastał z tych co pozostawił, a prócz ciekawości i kilku ziarenek współczucia, jako koniecznej jalmużny, niczego nie ma

prawa spodziewać się, ten prędko i boleśnie przebudzonym zostanie!

W mieście W\*\*\*, jak w każdym mieście, nowość otrzymała pierwszeństwo, i dzięki temu kodeksowi mody, Stefan wkrótce miał dużo lekcji prywatnych, a nawet wielu znalazło się kupców na jego obrazy, *bo te obrazy były przywiezione z Paryża!* Te co już robił na miejscu, nie miały takiego powodzenia. Proszę wszakże pamiętać, że to nie było „dziś,“ ale przed kilkudziesięciu laty!...

Bracia zajęli się rzemiosłem, a będąc uzdatnieni w stolicy świata, zyskali wkrótce wziętość. Jeden był tokarzem, drugi cieślą, a trzeci, najmłodszy, z zamiłowania introligatorem. Tak cudnie oprował książki i sklejał obrazy, że nie mógł wystarczyć obstalunkom. Helusia, celując parzykim haftem, także mogła już za swoją pracę mieć ładny kapeluszyk i modną sukienkę. A była ładną, miała już rok szesnasty, nie dziwota więc, że się chciało być pięknie ubraną.

Stefan miał lat dwadzieścia pięć, w epoce kiedy został nauczycielem rysunków Magdaleny.

Licząc na domysłność czytelnika, jestem pewnym że odgadł, iż te dwie ciche, a pełne miłości i poświęcenia dusze prędko się zrozumiały, oceniły, a następnie pokochały.

Była to miłość szczególna, cała w oczach i w westchnieniu drżącym na ustach, bo jeszcze dotąd ani razu nie oblekli jej w słowo, nie oziębili tego słowa w powszedniej atmosferze oświadczeń. Oni odgadli siebie, że są „rodzeństwem bólu,“ a na to słów nie potrzeba. On wzrósł w nędzy, w walce z życiem i pracy, ona w zapomnieniu, upokorzeniu i cierpieniach. Nie mieli żalu do ludzi, i losu za swoje przeznaczenie, nie skarżyli się, ale odczuli że Bóg ich dla siebie stworzył, i ludzie już nie mają do nich prawa...

Biędna Madzia, która dotąd prócz obojętności lub szyderstwa nic nie spotkała na drodze życia, nie mogła się oprzytomnić długi czas, czy to nie sen, że ją ktoś kocha wyłącznie, serdecznie, a tak cicho; bo ona tę miłość czytała w spojrzeniu Stefana, a on wzajemnie w jej łzawych oczach. Oni tak wierzyli sobie wzajemnie że się kochają, iż nie pojowali nawet na co o tym mówić; przysięgli, ale tylko każde sobie z osobna, że ich miłość trwać będzie do końca życia; i po tej duchowej przysiędze, gdy spojrzeli sobie w oczy, odgadli że są zaręczeni na całą wieczność.

Taka to miłość serc młodych, poetycznych. Głupcy z niej się śmieją, mędrzy w nią nie wierzą, a wszyscy jej po cichu zazdroszczą. Ale „że świat nie niebem, człowiek nie aniołem,“ nadeszła chwila, w której po ziemsku ta miłość musiała się objawić.

Było to tak. Pani Gryffowa, która w swęj dumie nie przypuszczala nawet, by między jej córką a nauczycielem rysunków, mógł być jakiś serdeczny stosunek, zostawiała ich często samych, pilnując lekcji Jadwisi, dla dodania jej *czucia* i deklamacji śpiewnej; kochankowie więc prawie zawsze byli sami: jest to jeszcze jedna okoliczność wiele sprzyjająca rozwojowi miłości. Owóż pewnego razu, na lekcji rysunków, Jadwisia, umyślnie czy przypadkiem, podsłuchiwała rozmowy Stefana i Madzi, a była to pierwsza rozmowa z wyznaniem miłości. Treść do niej podał rysunek, który właśnie uczennica wykończyła. Rysunek ten przedstawiał widok leśny, górzysty; śród tych gór i lasów, stała nad wodą chatka rybaka, bardzo mała, ale dla dwojga ludzi dostateczna. Widok był poetyczny i wywołujący konieczne zadumanie w kochającym sercu.

— Żebym to ja mogła kiedy mieszkać w takiej chatce, mówiła z zamysleniem Magdalena.

— Sama? zapytał jakby z wymówką Stefan.

— Ja nie wiem, odparło zarumienione dziewczę.

— Pannie Magdaleno niczego więc nie brakuje do szczęścia, tylko samotności?...

— Bo ja się ludzi boję.

— Wszystkich, bez wyjątku?...

— Tego nie mówię, ale...  
— Ale dla wszystkich masz pani *równą* życzliwość, i chciałabyś zawsze zdala być od nich?

— Zapewne, nie chciałabym się ludziom naprzykrzać.

— I panibys się *wszystkich* wyrzekła? zapytał jakimś cichym, lęklwym głosem Stefan.

— Ja tego nie mówię, odrzekła równie cicho i lęklwie Madzia. Tych cobym chciała mieć koło siebie... możeby *oni* nie chcieli...

Stefan spojrział na nią, i lży mu w oczach stały. Dziewczę bowiem mówiło z taką anielską prostotą i szczerością, że najzaciętszy wróg, jeśli by go miała, rozbroiłby się pewno patrząc na nią.

— A, panno Magdaleno, zawołał po chwili z młodzieńczym zapalem, czybabys ty sama nie chciała!..

I w tej chwili nie spostrzegł się, jak ich dłonie ra-

zem się złączyły. Rzecz dziwna! i cóż oni sobie powiedzieli? Wszak ani słowa nie było o miłości, a odgadli że o sobie mówią. Madzia, cała drżąca szczęściem i nieśmiałością dziewczęcą, nie podnosząc oczu z rysunku, zapytała naiwnie, nie pojmując wykrętów kokieryjnej strategii:

— Więc pan Stefan zgodziłby się mieszkać zemną w takiej chatce, zdala od ludzi?...

— Czybym się zgodził? wykrzyknął kochanek, przyciskając do ust jej rękę, jabym umarł ze szczęścia, gdybym był twoim mężem.

— Oh, to prawda, coby to było za szczęście, gdybyśmy zawsze mogli być ze sobą! odrzekła najnaturalniejszym głosem Magdalena. Ale czy to nam pozwoliłoby takiej szczęśliwości?...

— Nigdy! wyjąknął z boleścią młodzieniec, i jakby czuł że nie ma prawa trzymać jej ręki w swoim ręku, wypuścił ją pomału.

Kobięta to zrozumiała i wybuchła płaczem.

— Więc mnie rzucasz? zapytała przez łzy.

Co na to odpowiedzieć?... pytam was, kiedy miłość goreje w sercu, a ból zamyka usta, a każde słowo przepelnione uczuciem, roztopia się tylko we łzie?.. Co wówczas odpowiedzieć? Chyba *nie!*. Otóż Stefan nie odpowiedział, ale rzucił się na kolana i usta swoje milcząco przycisnął do milczących ust kochanki.

Ona nie zerwała się z miejsca, nie odepchnęła śmiałego młodzieńca, ale zamknawszy oczy, nachyliła głowę jak kwiatek podcięty, i rzesistemi łzami oblała twarz kochanka.

Gdyby w tej chwili wleciał pomiędzy nich piorun, pewno by się nie ulękli, nie odskoczyli od siebie, bo ich dusze tak się złączyły w tym czystym pocałunku, że gdyby jedna opuściła ciało, i drugą za nią uleciała.

Na takie pocałunki aniołowie patrząc, nie gorszą się wcale.

Ale Jadwisia nie była aniołem, i patrząc przez drzwi uchylone, zgorszyła się niepomału. Jakoż natychmiast pobiegła do matki i ze zgrozą największą, zaczerwieniona cała, ją opowiadać.

— Ah moja mam! co tam się dzieje na lekcji rysunków! P. Stefan klęczy u nóg Madzi i całuje ją, a ona płacze i całuje go także...

Pani Gryffowa zerwała się z kanapy i w mgnieniu oka stanęła na progu.

Stefan jeszcze klęczał. Madzia jeszcze płakała, ale już pocałunków nie było.

— Co to jest?... wrzasnęła jak wystrzał z pistoletu.

Stefan podniósł się i stanął, ale wcale nie zalekniony i zawstydzony, jakby się można domyślać, ale z naturalną godnością i spokojem spojrzął na nią.

Madzia nie podnosiła chustki od oczu.

— Co to jest?... powtórzyła raz jeszcze matka, zalamując ręce nad głową w kształcie kariatydy, a nie mogąc w zgrozie zdobyć się na inne słowa.

— Czyn sam za siebie odpowiada, odrzekł młodzieniec. Oświadczyłem moją miłość pannie Magdalenie, a mając jej wzajemność, śmiem prosić panią...

— Co? co? co? wyrzucała jeden po drugim, jak naboje, pytające znaki oburzona matka. Co? pan o coś jeszcze śmiesz prosić?...

— O rękę panny Magdaleny, odparł stanowczo.

Ta odpowiedź była zuchwalstwem nie do darowania. Mogła jeszcze przebaczyć pocałunek, ale ją, Habdankównę - Gryffową, prosić o rękę córki *jakiemuś* nauczycielowi rysunków, (wprawdzie kaleki, ale zawsze *jej* córki!) było to tak potworną bezczelnością, że pani Gryffowa nie znalazła już w piersiach nawet tyle głosu, ile potrzebuje jedno „co?“. Zato wybuchła konwulsyjnym śmiechem i śmiała się przez ćwierć godziny.

Dalszych scen opisywać nie będę. Domyślić się łatwo, że zgorszona matka zabrała natychmiast obie córki i wyjechała z miasta, zakazawszy Madzi najsurowiej nigdy odtąd nie brać ołówka do ręki.

Na świecie nie się nie dzieje bezcelowo. Jouffroy pięknie powiedział: „że kiedy złość ludzka zawiązuje jeden koniec łańcucha u nóg niewolnika, sprawiedliwość boska drugiego koniec wiesza na szyi wiaźącego.“ Bo Opatrzność nie rządzi się dowolnością, jest to mądrość świadoma sobie i dróg którymi prowadzi istoty słabe, ograniczone, co w swęj dumie sądzą się zdolnymi odgadnąć te drogi i cele... Prawda i mądrość uszykowały wszystko w logicznym porządku i nie też nie jest bez *przyczyny* i *nastęstwa*... Nawet „nędza“, ta najokropniejsza plaga rodzaju ludzkiego, jest koniecznym wynikiem grzechu, grzech ją rodzi, i ona grzech upładnia; z niej powstają rozpusta, upodlenie, zbrodnia; ale w tej nędzy jedna myśl wielka, porwijająca, jedno czyste serce może wyrodzić hart, szla-

chetność, a nawet geniusz... Tak więc na tysiąc ofiar które ona unicestwia, wyda jedno indywiduum, ale to jedno odkupi tysiące, oczyści w ogniu ubóstwa, oszlifuje na probierzu cnoty!

Do takiego posłannictwa Opatrzność przeznaczyła Stefana. To dziecko siednastoletnie, nieświadome dróg swoich, nieświadome znaku namaszczenia, jaki otrzymało w dniu przyścia na świat, szło cichutko po krwawej ścieżce ofiary, by odkupić rodzinę. Ale czy samą tylko rodzinę on miał odkupić? Nie, rodzina jego mogła nawet wymrzeć, ale onby pozostał, bo jego życie musiało się w danej chwili złączyć z innym życiem, i te dwie siły cierpienia, spotęgowane siłą miłości, miały wydać *dobro* i *sprawiedliwość*, i roztoczyć ten krąg już nie koło siebie i koło swoich, ale koło wszystkich co się do nich zbliża, ugasić pragnienie tych, co już nie mają sił zaczerpnąć napój, bo gorączka złego przepaliła im wnętrzości. Niegdyś Mojżesz, cudem swęj łaski, wydobyl źródło ze skały, na ugaszenie pragnienia Izraelitów... Po Chrystusie, innego napoju pragniemy i innego źródła.

Owóz, mówiąc parabolicznie, Stefan był łaską, Magdalena skałą. On z niej wydobyl ożywcze źródło miłości, a ona nią napoiła wszystkich spragnionych, i stała się oazą w pustyni grzechu, dla wszystkich sióstr w Chrystusie!

Gdyby ich miłość była zwyczajną skłonnością dwojga serc młodych, toby znaleźli środki i sposoby do połączenia się związkiem ziemskim. Magdalenaby się wykrađła, a Stefanby ją uniósł aż na koniec świata; a koniec ten taki daleki!... dobrze schowawszy swój skarb, nikt pewno go nie znajdzie.

Ale im ta myśl i w głowie nie powstała. Chcieli oni wprawdzie żyć razem i mieszkać w chatce, co tak ponętnie, tak uroczu przedstawiała im roskosz życia w ubóstwie i miłości... ale skoro ich rozłączono, powiedzieli sobie: „gdy nam nie wolno być mężem i żoną, to wolno być bratem i siostrą.“

— Jam twój do śmierci! powiedział Stefan.

— I ja twoja do śmierci!... powtórzyła Madzia.

I nie było żadnych zakleć, żadnych uroczystych przysiąg, bo oni nie potrzebowali sprowadzać Boga na usta, Bóg mieszkał w ich sercach a obecność Jego czuli w każdej chwili.

I tak minął rok cały. W tym czasie pan Gryff umarł, Jadwiga poszła za mąż bardzo świetnie, bardzo szczęśliwie. Pani Gryffowa co tydzień jeździła do córki, bez której dom dla niej był pustką, a Madzia?... Madzia chodziła z kluczykami, gospodarowała, modliła się i patrzyła na życie już z tej strony, jaką Stefan jej pokazał. Spojrzała tam nisko, na nędzę moralną, na ubóstwo ducha, na wszystko „złe“ jakie się ztąd wyradza, i przelekła, padszy na kolana, prosiła Boga by jej wskazał drogę, jak się zbliżyć do tych nieszczęśliwych braci i sióstr, co znikąd ratunku nie mają. Była to modlitwa za dusze w czysćcu będące jeszcze za życia, jeszcze w powloce ciała!...

I czyż taka modlitwa duszy, co sama ciężko cierpi, a pragnie pociechy dla drugich, nie miałaby trafić do stóp Przedwiecznego? Ona maluczka i pokorna, a tak wielką miłością, rozumiała przejście Chrystusa po ziemi, rozumiała ofiarę krwi i życia za grzeszników!

„Jakie to szczęście, pisała do Stefana, mieć głęboką wiarę i gorącą miłość!... O jaki Bóg dobry dla grzeszników, że dozwolił zakosztować takiej słodyczy na ziemi! Ja, wierząc w ciebie, uwierzyłam we wszystkie cnoty idealne, a kochając ciebie, zapragnęłam być tobie podobną, abym na zawsze miała prawo zwać się twoją siostrą; bo inaczej, przestałbyś mnie kochać. Ale nie! to nigdy nie nastąpi, bo ja nigdy nie będę inną jak ty, którąś ukochał.“

„Wierzaj mi, mój Stefanie, że ja się czuję spokojną, a nawet szczęśliwą... W pierwszych chwilach naszego rozłączenia, nie mogłam pisać do ciebie, bo wielki ból tak ścisnął moje piersi, łyż tak mi z oczu nie osychały, że nawet nie potrafiłabym myśli zebrać. Pragnęłam umrzeć, ale była to grzeszna rozpacz, którą odpokutowywałam cierpliwością i poddaniem się. I Bóg miłosierny wejrzał na moję pokutę, zesłał mi ducha spokoju i rezygnacji. Dzisiaj już nie pragnę śmierci, a nawet jej się lękam, bo dusza moja, nie oczyszczona z pyłów żywota, błąkałaby się długo po czysćcu, nimby ją Pan powołał przed swój sąd; a żyjąc, cierpiąc i kochając, tyle mam sposobności do oczyszczenia się...“

„Ale ja biedna, nieświadoma środków jakimi się dusza oczyszcza, chcę widomej łaski z nieba, i zuchwałą prośbą dopominam się u Pana, aby mi dał świętobliwe natchnienie!... Jakby natchnienie zstępowало na zawołanie nasze,... jakby to jedno pragnienie „dobrego“, mogło duszę od razu oczyścić! A, toby tak

łatwo było zostać świętą!... O nie, ja to rozumiem, trzeba wpiérw życiem czynu zasłużyć na widomy cud łaski, trzeba się zespolić myślą z niebem i czerpać z niego natchnienie... To też, mój drogi bracie, sama modlitwa nie wystarczy do uspokojenia pragnień mego ducha... Jest jakiś głos, jakby twój, co we mnie woła: trzeba poświęcenia i zaparcia się siebie, aby mieć prawo rozmawiać z Bogiem i żądać od niego odpowiedzi!... A jakież moje poświęcenie, jakie zaparcie się? Że nie jestem twoją, że nie dzielę twego losu, to czyż to moja *dobrowolna* ofiara? czyż się tego szczęścia wyrzekłam dla miłości Boga lub bliźniego?... Nie, ja czuję że na tobym sił nie miała; jam tylko uległa *konieczności*, to cudza wola i cudza siła rozłączyła nas na zawsze. Ależ ja, sama z siebie, co zrobiłam dotąd?... Płakałam nad sobą, nie więcej. Stefanie, bracie mój najdroższy! powiedz, naucz mnie, jak zdobyć to, co ty zdobył: „ofiary życia“, by tam w krainie ubłogosławionej już nas nie rozłączono, jak tu na ziemi!“

We dwa lata, piękna i szczęśliwa Jadwisia, powracając z balu, na którym została ogłoszoną „królową“, była zgrzana i nadto *przełaniona*; ztąd nastąpiło tak łatwe zapalenie płuc i galopujące suchoty, których następstwem koniecznym jest śmierć.

A tak została już jedna tylko córka, nielubiona, kulawa i brzydka, jakby widomy znak kary za niesprawiedliwość i opuszczenie.

Niepodobna opisać boleści pani Gryffowej po śmierci Jadwigi; była to szalona rozpacz: przeklinała ludzi, bluźniła Bogu, wołała śmierci, by ją czempredziej zabrała, nie mając już żyć dla kogo. Rospacz matki, bodajby grzesznej, jest tak bezbrzeżną, że Bóg ją przebacza.

Nieszczęśliwa kobięta, nie mając na kim pomścić swego żalu za niesprawiedliwość losu, obwiniała Magdalenę, że to ona jest przyczyną niebłogosławieństwa Bożego, że to za nią Bóg zsyła kary na ich dom; ona bowiem, przeznaczona na usługę Boga, nie dokonała ślubów uczynionych przez matkę, ale natomiast „grzeszną“ miłością dla jakiegoś *chłystka* (wyrażenie pani Gryffowej) ściągnęła gniew niebios.

Biedne dziewczę słuchało tego wszystkiego z anielską pokorą i cierpliwością, i tylko łzami i modlitwą błagała Boga o spokój ducha nieszczęśliwej matki, i dziękowała zarazem Panu, że cierpi przesładowanie, bo widziała w tém „ofiary“, a ofiarą już tylko pojmowała życie.

Pani Gryffowa od śmierci Jadwigi nie chciała prawie widzieć Magdaleny: zamykała się w swoim pokoju, nie przyjmowała nikogo i wpadła w rodzaj czarnej melancholii. Wszystkie przeto kłopoty domu, gospodarstwa, opieki zwaliły się na głowę 20-letniej dziewczyny. Upadała nieraz pod ciężarem, ale wnet pokrzepiała siły i ducha tą jedną myślą: „A Stefan mój, czy nie więcej wytrwał, przecierpiał, pracując w nędzy na całą rodzinę?“

Ta myśl była dostateczną, aby Magdalena swój krzyż uznała lekkim i nie zgięła się pod jego ciężarem.

Stefan tymczasem coraz bardziej wiađł, mizerniał, usychał; kaszel nieustanny, złowrogi, nie dozwalał mu nawet dawania lekcji rysunków; oczy mu zapadły, a policzki zdawały się nie skórą, ale jakimś białym, przezroczystym papierem powleczone. Niekiedy tylko występowały na nie krwawe rumieńce, jak kiedy słońce na zachodzie jaskrawą obleka się purpurą...

Śmierć, już oddawna goszcząca w płucach, przecinała tętno życia coraz szybciej.

Oto ustęp z listu Stefana, pisanego dwoma dniami przed śmiercią:

„Przygotuj się na to, droga siostrze, że się wkrótce rozłączym. Bóg mnie powołuje do siebie na *odpoczynek!* Prawda że tam mi będzie dobrze, ale gdybym mógł Go uprosić, tobym błagał jeszcze o lat kilka życia... bo moje życie potrzebne dla nich, dla matki, i dla Helusi. Wiem jak ona mnie kocha, wiem że nawet miłość i opieka innych braci, nie potrafi zabliznić rany w jej sercu. O, gdybyż Bóg jej zesłał tyle rezygnacji chrześciańskiej, by grzeszną myślą nie szmerła przeciw wyrokowi Jego.“

„A ty, moja siostrze, żono ducha mego! Ty także zostaniesz sierotą, wdową, bo któż cię tak kochać i cenić potrafi jak ja?... Ale bądź pewną, że się z tobą nie rozłączę i poza grobem. Duch mój będzie zawsze przy tobie, czuwać będę nad każdą twoją myślą! Rozmawiaj ze mną, ja ci będę odpowiadał... módl się za mnie, modlitwa jednoczy żywych z umarłymi w krainie ducha!.. Nie polecam ci mojęj matki ociemniałej i mojęj siostry, bobym ci ubliżył tém przypomnieniem. Ty to wiesz, że jeśli mam jakiś spokój umierając, to dlatego, że ciebie zostawiam nad niemi.“

„Magdaleno, nie rozpaczaj po mnie, bo rozpacz jest

bezsilną, a tobie wiele i bardzo wiele potrzeba sił i woli. Bóg cię przeznaczył na pociechę drugich, twoje życie już nie należy do ciebie, musisz się go zaprzeć...

„Słuchaj: w chwili rozstania się z ziemskim żywotem, duch nasz jest „jasnowidzącym.“ Owóż i ja cię widzę duchem, jak z białą liliją pokoju i miłości, idziesz po błocie, brudach i krwi przelanej, idziesz czysto, promieniejąco, niepokalanie... i podajesz rękę zbrudzoną, krwawą, trędowatą, i podnosisz je z kałuży błota, oczyszczasz ze krwi i trądu, i omywasz łzami a modlitwą miłości, przyodziewasz je w nową szatę, i stają się białe jak ty, czyste, pokorne i kochające jak ty!... „Tak Magaleno, twoje postannictwo odkupić siostry upadłe w grzechu, podnieść je z nieświadomości ku prawdzie, z ciemności ku światłu.

„Ach! jakże mi błogo w tej chwili!... Już cię widzę tam... tam... u stóp Pana, gdzie ja się jeszcze dostać nie mogę, bo moja miłość spoczęła tylko na mojej rodzinie i na tobie, a twoja, na tych wszystkich co cierpią, co pogardzeni, potępieni i odrzuceni przez społeczność... *Nieszczęśliwi!*...

„Magdaleno, żegnam cię, już więcej pisać nie mogę, siły mię opuszczają, wzrok mgłą zachodzi. Oh, chciałbym cię ujrzyć raz jeszcze, uściskać i skonać!... Oh, jak rokosznieby duch mój uleciał, gdybym na twoich piersiach raz jeszcze złożyć mógł głowę!

Otrzymałszy ten list, Magdalena natychmiast pospieszyła do miasta W\*\*\*. Gdy przyszło pożegnać matkę, na zapytanie gdzie i poco jedzie, odpowiedziała tylko: „Stefan umiera.“

W tej krótkiej odpowiedzi mieściło się tyle boleści, tyle niemiej rozpacz, że nawet p. Gryffowa nie mogła się zdobyć na słowo zaprzeczenia.

Miasto W\*\*\* odległe było o mil piętnaście, a więc o dwa dni drogi. Przyjechawszy, Magdalena już nie zastała Stefana, tylko jego zimne, nieruchome zwłoki na katafalku. Nieszczęśliwa padła na kolana, również martwa, zimna, nieruchoma, i zdało się że ich razem zład wyniosą i złożą w jednym grobie. Długo tak, długo klęczała Magdalena, i nikt jej nie śmiał przeszkodzić, nikt odezwać się do niej; bo wielka boleść ma swój majestat, przed którym i najwyczejniejszy człowiek onieśmiela się.

Gdzie wówczas była dusza Magdaleny, nie potrafię powiedzieć... ale to pевна, że jej ciało było jakby martwe, bo nawet łzy nie objawiły się na zewnątrz, a wyraz twarzy zastygł, bladziej, jak twarz trupa kochanka, był tak spokojny, że zdawać się mogło iż ona śni, i dopiero po przebudzeniu nastąpi żal.

Nieszczęśliwa matka Stefana, głośnieimi łkaniami w drugim pokoju oprzytomniła Magdalene. Podniosła się z ziemi, spojrzała dokoła, jakby przypominając gdzie jest, a po tej długiej rozmowie z duchem kochanka, pochylila się do ziemi, przycisnęła usta do zimnej jego ręki i rzekła jakby odpowiadając: „dobrze, będzie jak każesz. Życiem mojem zasłużę na wieczność. Do zobaczenia!“

I jakby uspokojona tą obietnicą rychłego ujżenia drogiej istoty, odetchnęła całą piersią i mogła już zapłakać.

O, jakimże to dobrodziejstwem są łzy dla zbolalego serca! Magdalena raz jeszcze ucałowała martwe czoło kochanka, jakby tym pocałunkiem chciała się pokrzepić, zahartować na ciężką podróż żywota.

Ociemniała matka Stefana wyszła z drugiego pokoju, wsparta na płaczącej głośno Helusi, i wyciągając ręce przed siebie, wołała łkając: „Gdzie ona? niech ją uścisknę! Mój syn tak ją kochał!“

Magdalena rzuciła się w objęcia nieszczęśliwej matki i długi uścisk spoili te dwa serca rozdarte, nierozzerwaną spójnią dwóch wielkich boleści!

— Matko moja, ja ciebie nie opuszczę, wyjękła dziewczyna-wdowa, ja was obie zabieram ze sobą!...

— Dziecię moje, co mówisz? zawołała z wyrzutem matka, ty mnie chcesz wprowadzić od grobu jego, od miejsc gdzie on mieszkał, pracował i osładzał moje kalęstwo? Oh! nigdy! nigdy!...

I zanosła się prawie konwulsyjnym płaczem.

Magdalena wiedziała że w pierwszych chwilach ciężkiej boleści, niema słowa pociechy; zamilkła więc, licząc na to, że czas sam przekona biedną matkę, iż jej opieki potrzeba. Wzięła potem za rękę Helusię, która niemiernie była do Stefana podobną, a wpatrując się długo, z niema boleścią w te szlachetne rysy, wyrzekła cicho: „Oh, jakęś ty do niego podobna, jak ja cię kocham Helusiu!“

Szesnastoletnia dziewczynka objęła za szyję Magdalene i wołała łkając: „O, i ja panią bardzo kocham!...

— A więc namawiaj mamę, abyśmy razem mieszkały. Ja po pogrzebie zaraz wyjeżdżam, bo i moja matka chora, potrzebuje mojej opieki; ale wkrótce po was przyjadę i zabiorę was na zawsze.

— Oh, dobrze, dobrze, zawołała Helusia, całując rękę Magdaleny. My będziemy mieszkać z panią. Pani taka dobra; Stefan nam to zawsze mówił.

— I często on o mnie mówił?...

— Codzień, zawsze, sto razy na godzinę, szczebiotała Helenka, a przed śmiercią ciągle wyglądał pani, i lzy mu płynęły jak strumień, kiedy wymówił te słowa: „już jedzie, ale ja wpięrw skonom, nim ona tu przybędzie.“

Magdalena wydała ciężkie, jakby się dusza rozrywała westchnienie, uściskała Helusię i pojechała do domu.

W kilka miesięcy matka Stefana wraz z Helusią zamieszkały w Murowanym dworze.

Magdalena była już teraz samowładną panią; pani Gryffowa bowiem, po tak silnych ciosach jak strata męża i dwóch ubóstwianych córek, stała się zupełnie bierną istotą: do nikogo nie gadała, w nic się nie wtrącała, tylko modliła się po dniach całych w kaplicy familijnej rodziny Gryffów.

Mimo obojętności, a nawet niechęci ze strony matki, Magdalena otaczała ją najczulszą troskliwością i przywiązaniem, czerpiąc pokrzepienie i osłode w uczuciu drugiej matki, która ją teraz kochała bardziej jak rodziną córkę.

I tak upłynęło lat cztery.

W tym czasie niespodziewany, zapomniany, a raczej uważany za zmarłego, zjawia się Antoni Gryff, brat nieboszczyka ojca Magdaleny, i przywozi z sobą ogromne summy, celem uszczęśliwienia familii i podniesienia rodu Gryffów, sam bowiem nie był żonaty; jedyną więc myślą jego była rodzina i *ostatni jej potomek*, którego koniecznie spodziewał się ujrzyć.

Pan Antoni, przywykły od młodości do życia awanturniczego, nic nigdy nie robił naturalnie i powszednio, zawsze godził na efekt. Owóż, jeżeli kiedy, to mu się teraz zdarzała pora do dramatu familijnego. Nie pojmował on życia bez wrażeń, a choć już był stary, wyglądał jeszcze czerstwo i młodo, jak wszyscy co nie na puchach, ale wśród kul i niebezpieczeństw przeżyli młodość. Ułożył więc taki projekt: zapuścił brodę ogromną, wiał kij i kosztur do ręki, jako tułacz-wygnaniec, i w kapocie wytartej zjawił się w Murowanym dworze. Psy, co zwykle nie cierpią dziadów, do reszty dokompletowały fantastycznego ubioru, i już prawie w samych strzępach stanął na progu pałacowym.

Objawia Kim jest, pyta o dziedzica młodego i prosi o przytulek. Naturalnie zawód był straszny, gdy się dowiedział że jedynym dziedzicem jest potomek płci żeńskiej. Stary prawie żałował swęj farsy. Wtém nadchodzi Magdalena, a dowiedziawszy się iż to stryj Antoni, o którym tak często słyzała od ojca, pomimo marsowej postawy, brudu i lachmanów, rzuciła się mu na szyję, objawiając serdeczną radość, i zarazem upewnając, że odtąd na niczem mu zbywać nie będzie, gdyż stryj ma wszelkie prawo zamieszkać w majątku brata i uważać się w nim za pana.

Latwo zgadnąć, że takie objawienie uczu jedyne-go potomka (choć i rodzaju żeńskiego) po ukochanym bracie, roztkliwiło serce wrażliwego przybysza: rozplakał się stary jak dziecko, bo już oddawna nikt go nie witał z tak bezinteresownym wylaniem, nikt, nawet ci co wiedzieli że jest bogatym, jak dziś ta, co go spotkała w lachmanach, jako żebraka.

Po owym dramacie, który uważał za konieczny wracając z nowego świata do staręj Europy, starzec się *rozmistyfikował* i powiedział prawdę, dodając że ma dwa miliony, których Magdalena zostaje spadkobierczynią, jako rodzona jedyna synowica. Ale zdziwienie jego było jeszcze większe, gdy na twarzy dziewczyny, miasto radości, ujrzał jakieś smutne i rzewliwe zamyslenie.

— Co to jest, moja panno?... zapytał rubasznie, czy uważasz to za mało?

— Dla mnie to niepotrzebne, odrzekła ze łzami Magdalena, ja mam aż nadto; ale gdyby był mój dobry ojciec, moje siostry, gdyby moja biedna matka była zdrowa, oh, jakieżby to dla nich było szczęście!...

— No, cóż robić, odrzekł pocieszając stryjasek, co minęło nie wróci; siostry i ojciec nie odzją dla milionów, matka nie wyjdzie z melancholii, choćym ją kapał w dolarach, potomek z nazwiskiem Gryff już się nie urodzi, bo ty, poszedłszy za mąż, dasz cudze nazwisko synowi... a więc powinnaś...

— Ja za mąż! krzyknęła przełknięta dziewczyna-wdowa, bo jej to słowo po raz pierwszy od śmierci Stefana obilo się o uszy.

— No, albo co?... czy jesteś tak starą i brzydka, że nikt cię nie pokocha?... Nie wierz temu, ja cię znajduję ładną, młodą i dobrą dziewczyną, a ja mam wymieniony gust, a że trochę chromasz, to posag milionowy wybornie zastąpi ci abcas!...

— Ale mój stryju, jeśliś mnie zmuszał do tego, to ja z góry rzekam się twęgo dziedzictwa. Niczego nie chcę od ciebie, oddam nawet majątek ojcowski, bylebyś mnie pozostawił na zawsze jak jestem.

— Ha! ha! to oryginalne, zakrzyknął Amerykanin, musi być w tēm jakaś tajemnica *pełna efektu!*... To mię intryguje. Opowiedz mi ją: lubię niezmiernie efektowe tajemnice.

Magdalena, nie widząc potrzeby tać swojej miłości dla Stefana i obietnicy jaką mu dała przy katafalku, opowiedziała wszystko stryjowi i zaprowadziwszy go do matki Stefana, rzekła uroczyście: „To moja matka, a to moja siostra! Kochaj ich stryju.“

Pocziwy Amerykanin uczuł się rozczulonym na widok ociemniałej staruszki i prześlizgnęj Helusi, a pod wpływem tkliwego wrazenia zawołał:

— To efektowe! matka ślepa, córka jak anioł, kochanek w grobie, a kochanka poprzysięgła mu wierność i nie chce iść za mąż... Istny romans książkowy!...

I na tēm się kończy historia „Staręj panny.“ Nie już nie pozostaje, jak dodać, że w parę lat umarła pani Gryffowa, potem matka Stefana. Helusia, będąc ładną i mając sto tysięcy od pana Antoniego, a sto od Magdaleny, poszła za mąż. Bracia Stefana zostali ludźmi za których się społeczność nigdy wstydzic nie będzie. Stryj, po dziesięciu latach, umarł na rękę Magdaleny, a Magdalena, mając parę milionów do rozporządzenia, była jakiś czas przedmiotem marzeń wszystkich młodzieńców na całej Białorusi.

Ale... ona swoje miliony postanowiła inaczej użyć, jakby ich użyli ci, co by *raczyli* zagarnąć je w swoje kieszeń. I tak przeżyła lat czterdzieści.

W epoce kiedym ją poznał na wieczorze u pp. Gwidonów, znaną już była powszechnie jako „Stara panna“, jako „ekscentryczka“, jako „reformatorka“ i wiele innych tego rodzaju miała przydomków. Mieszkała wówczas w jednym majątku w Polsce, celem urządzenia nowych roboczych zakładów dla pozbawionych pracy i domu poprawy dla pozbawionych cnoty.

Jej wielka dusza wzdrygała się, patrząc na te *parie* społeczeństwa, na te wynaturzone kobiety, co z hańbą swęj i smrotą utrzymują nędzny żywot, na które kłatwę pogardy rzuciła z góry „prawo moralności“, które na banicy wskazuje „cywilizowana społeczność“, taż sama społeczność, co je popycha ku ohydzie, i to samo prawo moralne, co umię tylko wyklinać, a uchyla się z ręką pomocy!... Czystość boleje zawsze za grzechem bliźniego, a szlachetność oburza się nad niesprawiedliwością drugim wyrządzoną!...

Owóż Magdalena, wezwawszy na pomoc ducha kochanka, by jej uprosił natchnienie boże, jak ma wydobyc z tego błota nieszczęśliwe siostry w Chrystusie, jęła się z całą energią niszczyć to „zło“, co tak zniekształniło całą naturę tych bożych istot, że nawet swęgo upadku pojąć nie umieją.

(Dokończenie nastąpi.)

#### KORRESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Szanownych czytelników i czytelniczki nasze, tak w Warszawie jak i na prowincyi lub w cesarstwie, upraszamy najuprzejmiej o nadsyłanie redakcyi materiału do kroniki tygodniowej. Materyałem tym mogą być wszelkie fakta odnoszące się do stosunków społecznych i obyczajowych, do literatury, sztuki, przemysłu i t. p. Nie idzie tu wcale o obrobienie stylowe, tylko o doniesienie samego faktu, z zaręczeniem za jego wiarogodność; korzystanie zaś z takich doniesień w sposób właściwy, będzie już wyłącznie rzeczą redakcyi.

*Sprostowanie.* W zadaniu szachowém w przeszłym Nrze Tygodnika zaszła pomyłka: na F 4 powinien stać lauffer biały, a nie czarny.

*P. L. D. w Dółkach.* Rysunek i opis klasztoru kartuzów w Berezie odebraliśmy i wkrótce zrobimy z nich użytek; brak tylko rąk, przy nawale innych robót, dotychczas był temu na przeszkodzie. Prosimy o nadesłanie nam adresu pocztowego.

*Panu Aleksemu M. za Wisłą.* W nadesłanych poezjach widoczne są zarody talentu, nieumiejącego jeszcze panować nad formą. Treść zresztą, po większej części egotyczna, czyni je niestosownymi do druku.

*Panu A. M. w Mytniku.* Otrzymanych utworów więszowanych umieścić w Tygodniku nie możemy.